

UŚMIECHY



1000182585

3583741

MACIEJ WIERZBIŃSKI

UŚMIECHY

~~Tow. Przyjaciół nauk w Przemysłu.~~
~~2432 D Lit~~
~~Wa-4-29~~

~~KOMISARJAT RZĄDU
na m. st. Warszawę
Egzemplarz obowiązkowy
Nakład 3300 egz.
dnia 12 listopada 1924~~

W A R S Z A W A
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. WOJNARA I S-KI

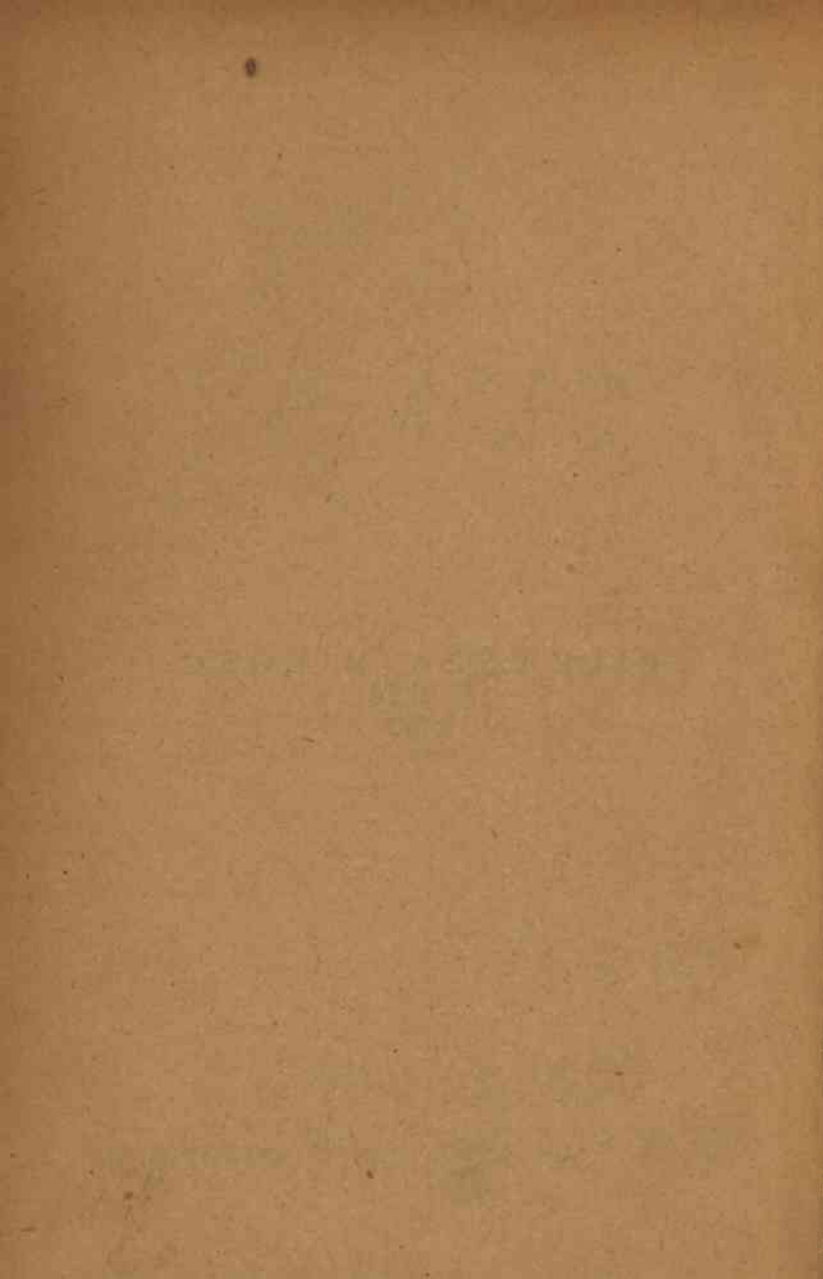
A-19219

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Liberat. 13a

K.1160/56/1160

PIERWSZA MIŁOŚĆ



„... *Carpe diem — quam minimum credula postero...* skandował niewprawnie Kazio i, ująwszy płową, szcztokowatą głowę w dłoń, kiwał się nad Horacym, niby żyd przy modłach. Za przykładem starszych gimnazjastów z piątej klasy, ambitny, dumny ze swej łaciny, chłopak wbijał sobie w pamięć klasyczne maksymy, jakie z woli pedagogów udziela młodzieży sprośny „*Epicuri e grege porcus*“, zatykając uszy przed monotonnym trzepaniem języków swych dwu ciotek, gdy ozwał się dzwonek, a potem w przed-sionku donośny, dźwięczny głos niewieści:

— Czy są panie Grzybowskie?

Stał się rozciekawiający, reklamowy szum jedwabnej halki i w poczciwą, swojską atmosferę pokoju, gdzie zdały się unosić zmieszane zapachy cnót brukowych, talentów kuchennych i plotek, wtargnęło fajerwerkowe zjawisko, wywołujące piorunujące wrażenie: młoda persona o nerwowych, histerję zdradzających ruchach i ogromnych czarnych oczach.

Roztoczyła dokoła jakby blaski bengalskie, zelektryzowała dwie stare panny, które niby kury

z grzędy spłoszone, zerwały się z kanapy i na wymączoną starannie twarz pół-damy wytrzeszczyły oczy jak wół na malowane wrota.

Jednocześnie rozpląnął się nieprzyzwoicie silny odór perfum, których niewielkie, acz pełne godności, naczynie sterczało w postaci podtatusiałego jego-mościa za plecami strojnej brunety, stanowiąc dziwny jakiś do niej dodatek.

Cylinder i marsowy wyraz zmiętego oblicza markowały nieznane jego dostojęstwa, tudzież fortuny brzęczące względy, a bujną męskość i krzepkość uzmysłowiały uczernione włosy i wąsy, zlepione na końcach pomadą *à la* Napoleon III w igły, dla serc niewieścich groźne.

Nadzwyczajna bruneta przedstawiła się jako artystka dramatyczna, a towarzysza jako swego wuja, zaczem starsza i okazalsza z sióstr, panna Leokadja, wygłosiła z pięknym gestem w kierunku wyszarżałych foteli:

— Może państwo zechcą zająć krzesła...

Rozsiadłszy się na oficjalnym miejscu na kanapie, przygotowywała się do słuchania.

Pachnący pan zabrał głos i oświadczył, że, wynajawszy na tem samem piętrze mieszkanie dla swej siostrzenicy, zaangażowanej do teatru, pragnąłby, aby panny Grzybowskie zechciały stołować ją i przyjmować u siebie. Ofiarował z góry zapłatę za miesiąc. Jednakże zajmująca się kuchnią panna Wanda wyło-

żyła mu, dlaczego, obarczona opieką Kazia, nie chce przysparzać sobie kłopotów domowych, i dodała:

— Jeśli chodzi panu o obiady prywatne dla siostrzenicy, to o to nietrudno.

— Wiem, łaskawa pani. Nie wierzę jednak, aby tam, gdzie więcej jada osób, była dobra, zdrowa kuchnia. Nie życzę sobie zresztą, aby Marynia była w nieznanym mi domu, wśród większego grona osób. Nie można wiedzieć, kogo spotyka się przy takich stołach. Coraz mniej, niestety, ludzi dobrze wychowanych, przyzwoitych w obejściu, szanujących kobiety... A moja siostrzenica tak żywa, roztrzepana, że niejeden mógłby nabrać podniety do... jakich bezczelnych uwag, narazić ją na nieprzyjemności, na afront.

— Żałujemy bardzo... — wycedziła panna Leokadja sznurowanemi dystyngowanie ustami.

— Ja żałuję jeszcze więcej, gdyż słyszałem, że, prócz kilku dam, prawie nikogo panie u siebie nie przyjmują, a ich towarzystwo byłoby dla mej siostrzenicy... prawdziwą przyjemnością.

Rozmowa urwała się, ale tylko na moment. Panna Wanda bowiem zagadnęła go, w jakiej mieszka okolicy, i okazało się, że panny Grzybowskie znają jego strony dobrze. Wywiązała się zatem ożywiona gawęda o dawnych i nowych dworach okolicznych. Tymczasem czarnooka artystka, snadź nie umiejąca się nudzić przyzwoicie, wierciła się na krześle, wresz-

cie powstała, obejrzała kilka lśniących bibelotów na etażerze i podeszła do Kazia.

Gdy promienie wyzywających źrenic uderzyły w twarz jego, chłopak, zwrócony dotychczas w stronę towarzystwa, skręcił się, pochylił głowę i zawiesił ją nisko nad książką.

— Cóż to kawaler czyta?— zadzwoniła mu nad uchem panna Marja, przechylając się przez jego ramię: — Łacina? Ach, jaki to kawaler uczony!

Cedząc te słowa, poczęła gładzić dłonią krótką, iglastą czuprynę skonfundowanego wyrostka. Przechyliła oporną jego głowę w tył, zerknęła w uciekające modre oczy Kazia dużemi źrenicami gazeli płoczej, bryznęła w nie ognistym uśmiechem.

Chłopak rozczzerwieniał się. Próbował trochę bronić się przed karesem, aż zmartwiał pod miękką dłonią i wtopił się w siebie wstydliwie.

— Ile kawaler ma lat?

— ...Czternaście — wyszeptał Kazio, jakby odpowiedź wymagała skupienia i namysłu.

— A listy miłosne już pisuje?...

On znowu oblał się szkarłatem i po długiej pauzie wyrzekł cichuteńko:

— Nie...

W tej chwili wuj aktorki odchrząknął i podniósł się z hałasem, poczem nastąpił gwałtowny szelest jedwabiów.

Aktorka z wujkiem znikła z cichego przybytku panien Grzybowskich, pozostawiając smugi zapachów i rozpamiętywań.

— Musi to być bardzo porządny człowiek, aby tak troszczyć się o żołądek swej siostrzenicy — poczęła pani Leokadja. — Zaraz widać, że to dobra krew. Opiekuje się nią jak ojciec, chroni przed złymi wpływami...

Podziw dla zacnego obywatela ziemskiego prześląkł w serce Kazia i podniósł skalę radości, dźwięczącej akordami adoracji — dla siostrzenicy.

Znał artystkę dramatyczną! A który czwartoklasista mógł poszczycić się takim szczęściem?... Jedno tylko kłało nieco świetlane jej wspomnienie, mianowicie imię Marja. Bo czyż artystka, nosząca tak popularne imię, mogła być wielką? Służącą ciotek także nazywano Marysią! Ot np. Izabela, Ewelina albo jeszcze lepiej Idalja, Zenobja—to byłyby odpowiednie dla znakomitej artystki imiona. Nikt zaś wątpić nie mógł, że panna Marja była znakomitością..

A „Marja” Malczewskiego?... Uderzyło go to i uspokoiło, rozwiało jedyny obłoczek, przyciemniający blask niewidzialnej, ale żywo wyczuwanej, wizji złotej, która sprawiła w nim niespodziewany przewrót, rozbudziła nagle tęczę barw nieznanych, upojnych.

Odtąd Kazio umiał na pamięć wszystkie afisze „jej” teatru, czytywał krytyki sztuk dramatycznych, o ile mówiły o niej, a ilokrotnie przechodził obok jej

drzwi, zatrzymywał się instynktownie, niby przed podwojami świątyni, w nieświadomionej nadziei, że za moment objawi się oczom niegodnego cudne zjawisko i obdarzy go... czarownem wzruszeniem bez nazwy. A ponieważ słońko nie wyzierało z poza drzwi, więc Kazio często szwendał się około bramy, wystawał przed oknami pobliskich sklepów, polował na spotkanie. I udało mu się ujrzeć pannę Marię w towarzystwie nie zacnego wujka, lecz młodego, wygolonego mężczyzny.

Radość niepojęta uderzyła weń obuchem, zamroczyła go, gdyż miał wrażenie, że stał się cud. W sferze podświadomości podniosło się święte zdumienie, że sylfida, w edenie poczęta, z mgieł różowych utkana, chodziła po ziemi śmiertelnych. Zatoczył się, pokraśniał aż pod białka oczu, jednakże zebrał siły i... ukłonił się. W odpowiedzi otrzymał ukłon i uśmiech, dla miłego przeznaczony pieska.

Jakby wsiadł na sto koni, prysnął, elektrycznością unoszony, na górę, do domu, szastał się po pokojach, dokazywał, świstał.

A wkrótce potem spadło nań z nieba nieoczekiwane szczęście: spotkał pannę Marię "samą na schodach.

— Ach, pan Kazio — ozwała się aktorka.— Co to już za duży kawaler! Ale nie bywa pan jeszcze w teatrze?

— .Rzadko, czytałem jak pięknie pani grała w „Ślubach panieńskich”.

— Ta-ak? Jutro znowu wystąpię w „Ślubach”. Dam kawalerowi bilet, jeśli ma ochotę mnie podziwiać na scenie. Dobrze?

— Bardzo chętnie — odparł bez tchu, wyrastając na drożdżach radości.

— To proszę przyjść do mnie jutro około piątej.

Jutro... o piątej... bilet... teatr! W różowym chaosie umysłu trzepotały się, dzwoniły złote listki jakieś, tańczyły, śpiewały pieśń skowronkową niczem niezakłóconego wesela. A rzeczywiście jutro nadeszło, piąta zbliżała się...

Dziesięć minut przed jej wybiciem Kazio w wyczyszczonym starannie mundurku stał u drzwi artystki z bijącym sercem. Gdy targnął za dzwonek i brzęk jego posłyszał, chciał w pierwszej chwili zbiec ze schodów, uciekać, tak był przerażony ogromem bliskiego szczęścia.

Nie wiedział, jak się stało, że znalazł się w niewielkim pokoju, oko w oko z wyneglizowaną aktorką, z „Nią”. Nie raził go nieład dokoła, nie zauważył surduta, wiszącego na krześle, nie słyszał chrapania, dochodzącego z przyległego pokoju. Nie widział nic prócz jej oczu, których promienie wynosiły go ponad nieporządek pokojowy, ponad poziom zwykłego bytowania, ponad niego samego. W samym rdzeniu

nieznanego uczucia skryztałizował się w gwiazdę oszałamiającej radości. Działy się z nim dziwy.

— Jest bilet, jest! Nie zapomniałam! — wyrzuciła panna Marja, zachwycona swą słownością, sięgając po portmonetkę.

A chłopak żywym ruchem sparował nogi i w żołnierskiej pozycji podziękował jej pięknie.

— A proszę mi klaskać trochę!.. Ile kawaler ma lat?— spytała nagle, paląc go lubieżnym rozgrzanego ciała wyziewem i pieszcząc jego lica długim spojrzeniem.

— ...Blisko piętnaście — wykrztusił zmartwiony chłopak.

— Jeszcze bardzo młody... — bąknęła aktorka i chichotała się z cicha, dziwnie, jak czarownica. Wreszcie parsknęła mu w oczy głośno:

— Ale w rękę można pocałować!

Dzwoniąc jeszcze drażniącym śmiechem, podsunęła mu niekształtną, kościstą rękę, którą pijany, rozgorzały wyrostek przycisnął do ust chciwie a nabożnie.

— A proszę mi klaskać!— upominała go artystka raz jeszcze u drzwi.

Tej nocy afisz niezapomnianego widowiska spoczął niby relikwja pod poduszką uczniaka, który złożył na niej głowę, jak na zwojach kwiatów pomarańczowych, upajających, pełen ogni niespalonych, uczuć niewykwitłych, snów niewyśnionych.

Jesień zmieniła się w wiosnę. Cudnie było na świecie, jasno, majowo. Tylko z łaciną nie szło już tak nadzwyczajnie dobrze...

Ale w kilkanaście dni potem posłyszał, jak ciotka Laokadja po powrocie z miasta opowiadała siostrze w drugim pokoju.

— ...Już piętnasty a jeszcze nie zapłaciła ani grosza. Niedawno sprzedawała część mebli, mówiąc, że zastąpi je lepszymi. Gdzież tam! Prostu wuj ją opuścił, gdy się dowiedział o tym aktorze. A to dopiero ziółko!... Stróżowa mówiła, że wuj zrobił jej scenę i rzucił.. Więc nie ma na komorne, a posługaczka opowiadała na dole, że nie ma dziś nawet rubla w kieszeni!

— Miałam dobre przeczucie, że nie wpuściłam jej do domu—ozwała się panna Wanda. — Poznałam się zaraz na niej i na jej.. wujku!

Z tego wszystkiego Kazio stropiony wyłuskał tylko jedno: „Nie ma nawet rubla w kieszeni”. Szlachetne oburzenie na ciotkę, która śmiała tę wielką, znakomitą gwiazdę nazywać „ziółkiem”, ustąpiło, zalane przez łzawe współczucie.

I pierwsza troska zbliżyła się, zawisła chmurą nad głową chłopca.

Czemuż nie mógł góry złota rzucić do nóg cudnej kapłanki sztuki? Wysłać jej drogi kobiercem róż i fijołków? Czemuż i on nie miał.. ani złamanego rubla przy duszy?..

Nazajutrz, wróciwszy ze szkoły, zwrócił się do ciotki Leokadji:

— Proszę cioci, profesor Miszel obchodzi jubileusz swej dwudziestopięcioletniej pracy nauczycielskiej. Składamy się na prezent dla niego, więc niech mi ciocia da... trzy ruble.

— Co? Aż trzy ruble?!

Po dłuższych deliberacjach panna Leokadja dała się nabrać i trzyrublówka w kaligraficznie zaadresowanej kopercie powędrowała anonimowo w skrzynkę do listów artystki—jedynej, absolutnie jedynej, a zarazem największej, najświetniejszej, najpiękniejszej.

Przed wakacjami przyjechał ojciec i w swej troskliwości o wychowanie jedynaka udał się do profesorów, aby wywiedzieć się ustnie o jego postępkach.

Kazio pewny był, że wszyscy nauczyciele dobrą o nim wydadzą opinię. Zdziwił się przeto niezmiernie, gdy ojciec powrócił milczący, nastroszony, zły i, odsapnąwszy uroczyście, przedziurawił go na wylot sztyletowem, śledczem wejrzeniem.

Siadł na krześle naprzeciwko Kazia i znowu odsapnął, jak bywało, gdy ktoś przeszkrobał coś w gospodarce. Przez chwilę żuł słowa, nim począł, udrapowany w czarną powagę ojcowską:

— Ładne rzeczy!... Ciotka wstawiła mi w rachunek trzy ruble na składkę dla profesora Miszela, a, jak się okazuje, on żadnego nie obchodził jubileuszu... Na cóż tedy poszły te trzy ruble? Cóżes

z niemi zrobił?... — huknął hreczkosiej, pałając wzrastającym gniewem.

— Bo proszę ojca... proszę ojca, musiałem... Krawiec.... — bełkotał Kazio, czerwony jak rak na półmisku.

— Kłamiesz! znowu kłamiesz! Krawiec zapłacony. Mów, na co te trzy ruble! Mów wszystko!...

— No... na nic, proszę ojca...

— Na nic?!... Ej, ja się domyślam, ty łajdaku! Czternaście ledwie skończył!... To przechodzi już wszystko! Wstyd, skandal, żeby taki smarkacz bezwąsy...

Domysł za fakt biorąc, dobry ojciec począł szukać oczyma swej gibkiej, znanej, na folwarku, laski trzcinowej.

— Tyś na coś złego wydał te pieniądze!

— Nie, przysięgam, że nie...

— Więc na co?! Po raz ostatni pytam!

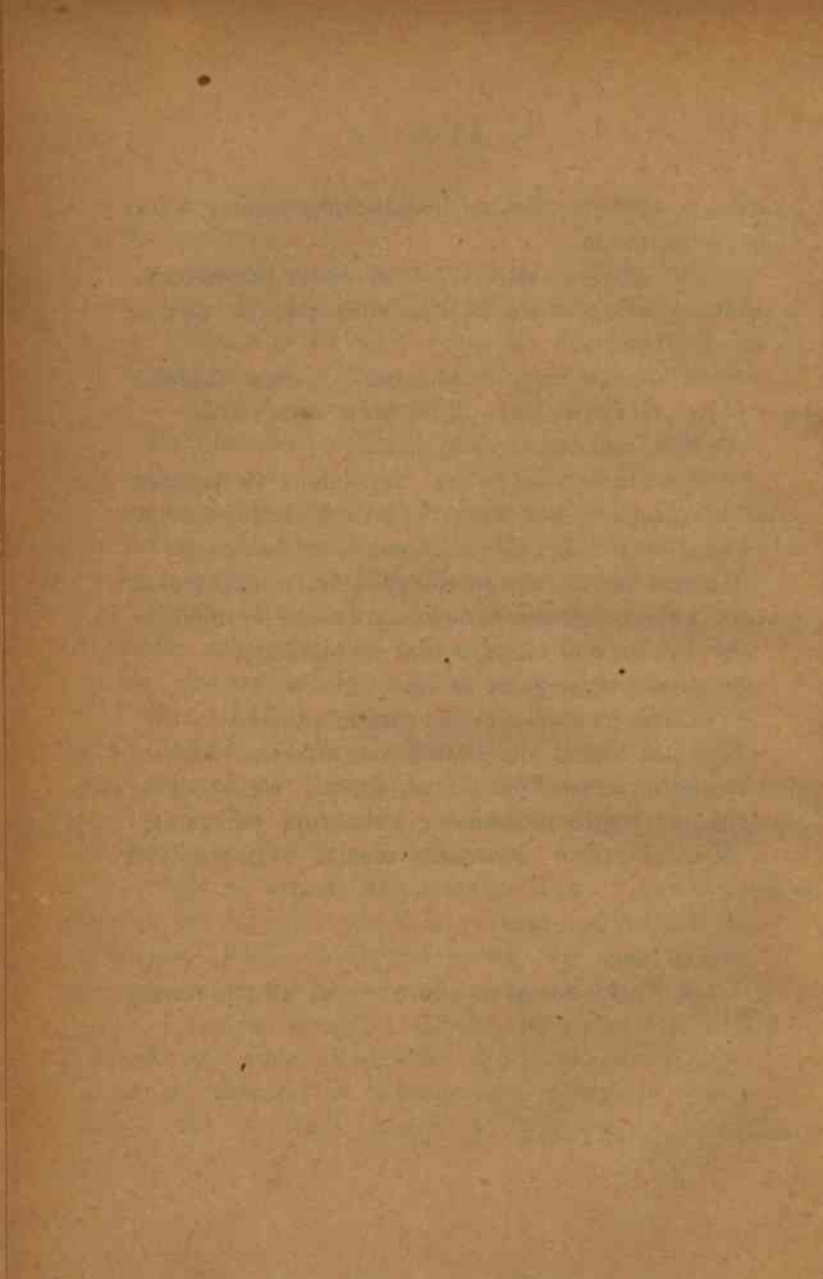
Chłopak zaciął się. Pod grozą *ultima rationis*, niemal pod mieczem Damoklesa, zapadł się w siebie i w pokoju zaległo brzemiennie katastrofą milczenie..

Wreszcie szept cichuteńki uleciał z pobladyłych warg:

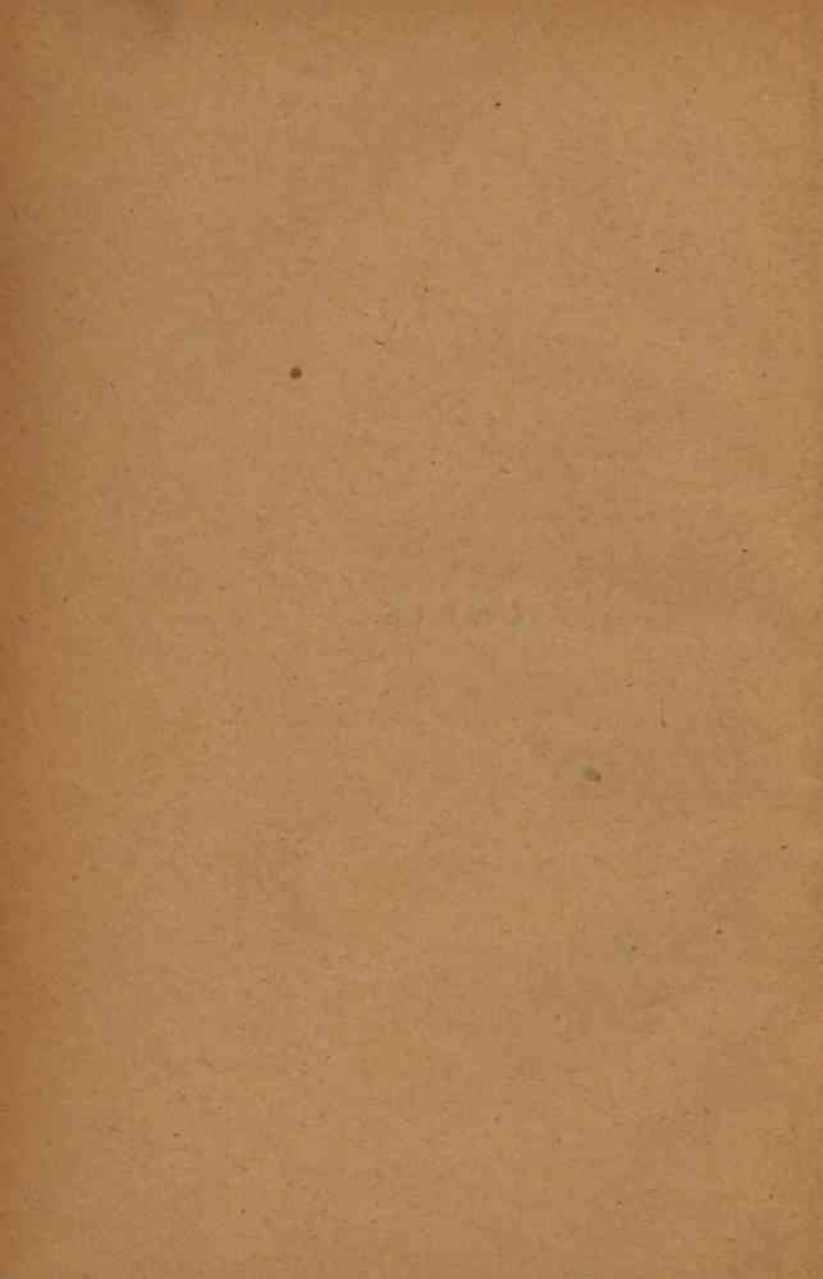
— Na nic...

Świst laski.

I tak Kazio dostał w skórę — za swą pierwszą miłość.



Z A P I S.



— Dokąd mama się wybiera?

— Jakto dokąd?... Na pogrzeb.

Oczywiście. Doprawdy nie potrzeba było domyślności, by odgadnąć, że pani Rozalja Pytlińska wychodziła na pogrzeb. Przecież, jak dobrze rzeczy szły, trzy razy tygodniowo przywdziewała na bujne, siwe włosy ciemną, wdowią kapotkę, wydobywała z szuflady nowe rękawiczki i szła oddawać ostatnią posługę zgasłym znajomym i nieznanym.

Widywano ją, niekiedy załzawioną w kondukcje pogrzebowym gospodarza domu, w którym mieszkała jej kumoszka, wśród żałobą okrytych krewnych przełożonej szkoły, przy katafalku majątnego dyrektora fabryki, głośnego lekarza, pani od dobroczynności i wogóle wszystkich osobistości, których zejście ze świata obwieszały kurjery i klepsydry wspaniałemi ogłoszeniami.

A jej Zygmus pytał jeszcze, dokąd się wybierała!

W istocie nie odznaczał się inteligencją. Byłaby to przyznała nawet sama matka, gdyby zdawała sobie sprawę ze znaczenia tego słowa.

Muś nauczył się niejednego, zdał nawet z mozołem jakiś egzamin, z tym wszakże rezultatem, że nominalnie „szukał stanowiska“ od lat dwóch a faktycznie wysiadywał pod ciepłymi skrzydłami matczynymi i skubał ją z piór emerytury, z klasyczną obojętnością oczekując dalszych losów.

Uderzający brak cech męskości wynagradzały u niego dobre maniery, pewna galanterja, miła powierzchowność oraz talenty choreograficzne. Z nabożeństwem całował ręce pań kanapowych, pytał o stan ich zdrowia, z uśmiechem witał panny, wychwalał ich tualety, przy stole nalewał sąsiadkom wino, gawędził wprawnie o teatrze i aktorach, a nigdy nie miał własnego zdania. Był to przeto arcypoprawny i wszędzie pożądanym młodzian, nie zawadzający nikomu, dekorujący salon, wycierający podszewkami posadzkę pilnie — było to naczynie bezbarwnej banalności, uosobienie porządnego człowieka.

Lecz ignorancja jego zaboląła matkę, gdy zagadnął ją naiwnie:

— A czyj to pogrzeb dzisiaj?

— Nie wiesz?? Wolińskiego.

— Jakiego to Wolińskiego?

Wejrzenie najwyższem zdumieniem naszpilkowane przeszło ładną, a nic nie mówiącą twarz Musia.

— Nie słyszałeś o Wolińskim?!

— Czy go mama znała osobiście?

Co za pytanie! Nie podobna znać wszystkich osobiście, a jednak, dzięki Bogu, pani Rozalja знаła w Warszawie i na prowincji setki, tysiące ludzi, którzy wcale tego nie przypuszczali.

Nie było w Warszawie nieruchomości, o której nie umiałyby powiedzieć do kogo należy, jakie mury te i jej właściciel przechodzili koleje. Dość było wymienić nazwisko, a pani Rozalja sięgała do swej skarbnicy pamięciowej i roztaczała bogate informacje o członkach tej rodziny i niemal zawsze okazywało się, że wiedziała o kim mowa. Jeżeli zaś wypadkiem nie wiedziała, zdejmował ją wstyd i przedsiębrała bezwzględnie akcję wywiadowczą na wielką skalę.

O wszystkich w tej samej kamienicy zamieszkałych, posiada budujące wiadomości. Nic nie było dla niej tajemnicą. Wiedziała, ile kapeluszy zużywa rocznie pani kupcowa, ile płaci za suknie buchalterka z trzeciego piętra, co jada na obiad wdowa z oficyny, kto u niej bywa, jak często i w jakim celu, z kim chodzi na spacer y panna Władzia, kto do niej się umizga i na kogo ona poluje. Wiedziała o której godzinie powraca literat, dlaczego służąca Helcia odeszła od doktorowej, u kogo emeryt kazał sobie rwać ząb, czemu gospodarz podwyższył komorne pannie Sidonji, ile guzów nabił sobie Tadzio stróża na podwórzu, ile pani sędzina płaciła za kaczkę na targu i jak często pani Wanda każe trzepać dywany.

O! Pani Pytlińska była pełną wiedzy; ucho-
dziła przeto za ruchome, acz nie rentujące się biuro
informacyjne, wprost nadzwyczajne.

— Nie pamiętasz adwokata Karola Wolińskiego?
— mówiła do syna. — W Lublinie mieszkał
o cztery domy od nas. Widywałam go nieraz przez
okno — ciągnęła, z odcieniem żalości odnosząc się
do przeszłości. — Miałeś wtedy ośm lat. Bywał wów-
czas często naprzeciwko nas jako narzeczony Zosi
Mijewskiej. Już był dał na zapowiedzi, gdy przydy-
bał ją całującą się z pewnym studentem, jej kuzy-
nem. Skutkiem tego zerwał i nie ożenił się, chociaż
wówczas lubił kobiety. We dwa lata potem, nieł
w trzy wyprowadził się do Warszawy i tu powiodło
mu się znakomicie. Został dyrektorem „Spójni“. No,
to chyba ci wiadomo. Zresztą przeczytaj sobie w Kur-
jerze jakie piastował urzędy i zaszczyty. Cała stro-
nica!.. O! był to bardzo wybitny i zacny człowiek!
Pozostawił z górą sto pięćdziesiąt tysięcy...

Pan Zygmunt słuchał słów matki z zajęciem,
poczuwając się trochę do grzechu niewiadomości.
W końcu poczucie szacunku dla zmarłego podniosło
się w nim falą do takich rozmiarów, że nie mając
nic weselszego do roboty, postanowił towarzyszyć
matce na pogrzeb wybitnego obywatela, którego
mógł być swego czasu widywać przez okno w Lu-
blinie.

I nie pożałował tego. Pogrzeb rzeczywiście był okazały, wspaniałym łańcuchem pojazdów uświetniony, tak, iż Muś, wplątany w dostojny kondukt, czuł się wcielonym w dobre towarzystwo. Ciemno ubrany, z odprasowanym cylindrem, postępował przygaszony poczuciem żałoby, dostrojony doskonale do ogólnego tonu pogrzebowego.

Gdy jeden z wieńców, pokrywających trumnę począł zsuwać się z brązowego wieka, ozwała się w nim struna wrodzonej usłużności. Wyforytował się naprzód, umocnił wieniec na miejscu, w ten sposób zaznaczając i dając do poznania istotną swą przynależność do dostojnego konduktu. Zaczem pozostał na straży wieńców. Kroczył tuż przy boku karawanu, świecąc wypomadowaną, dobrze uczesaną głową.

Ugodziły weń spojrzenia najbliższych krewnych nieboszczyka, oplotły go namolnie, krytycznie, potem skrzyżowały się między sobą błyskawicznie i znów oblepiły wysuniętą naprzód sylwetkę młodego człowieka.

Cofnęli się, zwolnili kroku, jakby niemile tem zjawiskiem tknięci. Na licach siostry zmarłego, brata i jego żony pogłębiły się cienie żałobne, które chwilami w długim pochodzie pierzchały całkiem pod zwykłą pogodą usposobienia.

Wędrując przez błotniste ulice żydowskie, jedni nie spuszczaali z oka młodego intruza, inni strzelali nań z pod ściągniętych brwi piorunującym wzrokiem,

niby na wroga uzurpującego sobie coś z przywilejów im wyłącznie przysługujących.

Gdy u bramy Powązek powstało pewne zamieszanie, Muś zbliżył się do matki i ujął ją pod ramię. A głowy państwa Wojciechowstwa Wolińskich, ich córki poczęły odwracać się ku nim raz wraz migawkowo. Ilustrowano postać pani Rozalji od stóp do głów. Nie zauważyła ona tego, gdyż suplikacje duchowieństwa roztkliwiły ją tak, że miała wrażenie, iż odprowadza na odpoczynek bliskiego sobie i drogiego człowieka. Łzy szklily się w jej bladych ładnych oczach.

Stała z synem na rozkopowisku, wyrosła nad wszystkich posągiem cichej żałoby, pochylającym się w modłach nad trumną, zapadającą w rozwartą paszczę ziemi.

W prostocie ducha ani ona ani Muś nie przypuszczali, iż nabili ćwieka rodzinie nieboszczyka i sfałdowali poważnie ich czoła, słaniające się ku schedzie po beżennym ś. p. Karolu.

Milczenie. nasiąkłe refleksjami, wisiało chmurą w karocy, uwożącej siostrę, brata i bratową nieboszczyka. Wreszcie stara panna Wolińska mruknęła przez siebie:

— Trochę do niego podobny, z ruchów, z nosa...

— Mianowicie z figury.. — bąknęła pani Wojciechowa, a mąż jej zerknął w ich oblicza z frasunkiem.

Rozumieli się bez słów. Myśli ich skierowane były na jedno i to samo—na owego młodzieńca, który poprawił wieniec w pozycji, niezawodnie swój wieniec, i następnie świecił im w oczy swą niepożądaną obecnością, niejako spychał ich ostentacyjnie na drugi plan. Ich, najbliższych zmarłego ludzi!

Straszne podejrzenie nurtowało ich umysły i wżerało się w nie coraz głębiej. Zmarły Karol trzymał się od nich zdaleka, nie wtajemniczał ich w swe sprawy. Kto wie, czy nie miał kochanki i syna, nie utrzymywał ich i — nie zapisał im znacznej części dobytku...

Wróciwszy do hotelu, zafrasowany pan Wojciech zatelefonował do znajomego, który, jak zauważył, zamienił na pogrzebie ukłon z natrętnym młodzieńcem i zaciągnął o nim informacji. Dowiedział się, że był to syn jakiegoś urzędnika z Lublina, żyjący z matką niewiadomo z jakich funduszków. Utwierdziło to pana Wojciecha w przypuszczeniach, odbył zatem naradę z żoną i siostrą i w przebiegłości swej postanowił pojechać do pana Zygmunta, tłumacząc, że „trzeba bezwzględnie przedsięwziąć coś mądrego, jeśli wszyscy krewni nie mają wyjść jak panna z tańca“.

Pani Rozalja była nieubrana, ale Muś przyjął nieznanego obywatela, który szukając w fizjonomji jego podobieństwa do zgasłego brata, począł uprzejmym tonem:

— Zauważyłem pana, zdaje mi się z matką na pogrzebie mego brata... Czy wolno mi zapytać, co skłoniło szanownych państwa do uczestnictwa w tym smutnym obrzędzie?...

— Tak wybitny, zasłużony obywatel... — rzucił Muś i poruszył się w krześle niespokojnie, czując całą błahość podanego motywu.

A przebiegły pan Wojciech pokiwał głową, myśląc: „zbywa mnie słomą a ukrywa się z prawdą... Trafiłem na kamień...”

— Zapewne łączyły szanownego pana ze zmarłym bliższe stosunki? — podpytywał!

— Tego nie mogę powiedzieć, ale matka moja znała nieboszczyka pana Wolińskiego zdawna.

— Z Lublina?

— Tak, z Lublina. Dawna znajomość.

— Hm —

Pan Wojciech targnął wąż nerwowo.

Istotnie podobieństwo między tym młodym człowiekiem a panem Karolem było niemal uderzające. Już to kobiety posiadają trafny subtelny zmysł obserwacyjny. Mógł on liczyć lat dwadzieścia ośm. Przyszedł zatem na świat w epoce młodzieńczej lekko-myślności i romansowych wybryków pana Karola.

— Przepraszam, a kiedy szanowni państwo sprowadzili się z Lublina do Warszawy?

— Lat temu dwadzieścia.

— Dwadzieścia — powtórzył pan Wojciech i przypomniał sobie, że mniej więcej w tym samym czasie brat jego przeniósł się nad Wisłę.

Zaczem ozwał się.

— Ja i najbliższa rodzina zmarłego porządkujemy obecnie sprawy... nieco zawikłane sprawy majątkowe ś. p. Karola... To właśnie sprowadza mnie do szanownych państwa... Sprawy to zawikłane. Będziemy mieli niemało trudu i zachodu, by wyprowadzić je z matni, uratować coś niecoś...

— Słyszałem, że s. p. pan Karol pozostawił bardzo znaczną fortunę — rzekł Muś, by sprawę wyjaśnić i następnie zaimponować matce bajeczną ścisłością informacji.

A pan Wojciech zaniepokoił się.

— Znaczną fortunę! Czego to ludzie nie głoszą! Niby to fortuna, ale Boże drogi...

Zachłysnął się, zaśmiał i nagle wybuchnął.

— Powiem szanownemu panu szczerze, lepsze dwa tysiące rubli w garści aniżeli cała ta scheda i sperandy.. Po latach, przy usilnych staraniach będzie może można wydobyć... kilka tysięcy.

Chichotał pod wąsem, a Muś słuchał z atencją, jak nakazywała prostą grzeczność, udając, że kwestja ta nie jest dlań pozbawiona interesu.

Silił się na to tem więcej, że uprzejmy jegomość ujmował go, odzywając się doń jako do „szanownego pana”.

— Porządkując tedy przykre te sprawy — ciągnął gość — muszę się porozumieć z państwem w naszym obopólnym, a głównie pańskim interesie. . Czy matka pańska i szanowny pan mają jakie pretensje do zmarłego mego brata?

Pan Zygmunt milczał długo jak kamień, wzięty w objęcia potężnego, wszelką myśl tłumiącego zdumienia.

— Proszę niech pan mówi zupełnie szczerze! — upominał przebiegły pan Wojciech.

— Nie wiem doprawdy, czy...

— Niema co prawdy obwijać w bawełnę. Rozumiem, że szanowny pan pragnie pokryć to tajemnicą... Niemniej ma pan pretenstę?

— Co się mnie tyczy, to nie, ale być może matka...

Zrazu Muś, w słup soli zamieniony, nie miał pod czaszką ani jednej myśli. Wreszcie strzeliło mu do głowy, że może ojciec jego pożyczył kiedyś nieboszczykowi jaką sumę lub że matka miała jaką inaczey ugruntowaną pretenstę.

— To na jedno wychodzi — rzekł pan Wojciech i ciągnął: Sądzę, że państwo z wdzięcznością przyjmą naszą propozycję. Otóż jestem gotów wyasygnować państwu dwa tysiące...

— Dwa tysiące!... — zawołał Muś niemal przerażony.

— Nawet trzy tysiące — poprawił się przebiegły p. Wojciech, sięgając w zanadrze — jeżeli szanowni państwo zrzekną się formalnie wszelkich pretensji i podpis swój położą na tym oto piśmie.

CyrogRAF zawisł przed osłupiałym panem Zygmuntem.

— Co się mnie tyczy, nie mam nic przeciw temu. Owszem. Ale nie wiem, czy... matka...

— Może szanowny pan zechce pomówić z nią zaraz, przedłożyć jej wszystko zgodnie z memi przedstawieniami, nakłonić ją...

Jako zachęta, kilka błękitnych papierków poczęło wikłać się w palcach przebiegłego pana Wojciecha. Wydały się one Musiowi, skazanemu na skromne *pourbois* od matki, przedmiotem arcymiłym i pożądanym. Czuł, że widok tych papierków działa nań oszałamiająco, jak wino szampańskie.

Nie wiedział jak to się stało, że zamasztył pióra rzutem podpisał przedłożony dokument i, nadzwyczajną energią doppingowany, udał się do matki z prośbą, na rozkaz zakrawającą:

— Niech mama to podpisze!

Pani Pytlińska odziedziczyła wstręt do podpisywania dokumentów. Poczęła przeto zarzucać go pytaniami, i odcyfrowywać pismo, lecz litery skakały jej przed oczyma, wszystko mgliło się w głowie. A syn rzekł.

— Zdaje się, że Karol Woliński zapisał nam trzy tysiące rubli.

— Nie może być! Ach Boże, co to zacna dusza! Jak on to wiedział, mój Boże.. — rozczuliła się pani Rozalja.

— Niech mama da swój podpis, a brat jego wypłaci zaraz..

— Zaraz!? Ach Boże..

Łzy stanęły w rozradowanych oczach pani Rozalji. Wyjęła pióro z rąk syna.

Niebawem Muś rzucił zwój banknotów do podziału przed wniebowziętą matką, która, roztapiając się w rozczuleniu, płacząc jak bóbr, kwiliła:

— Są na świecie zacy ludzie... Damy na mszę świętą za wieczny odpoczynek tego szlachetnego człowieka.. Niech mu światłość wiekuista...

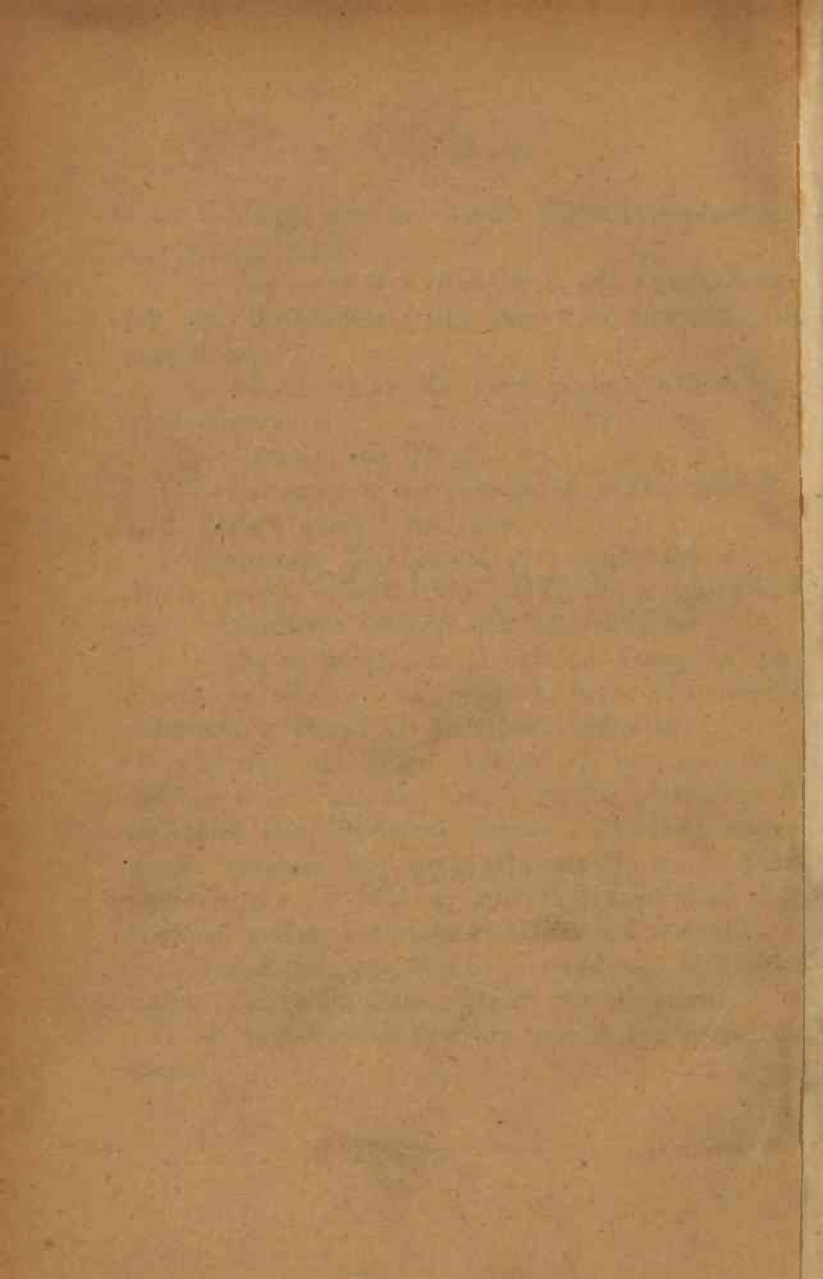
W trzy dni potem odbyła się uroczysta msza żałobna w kościele św. Krzyża za duszę pana Karola, na której pani Pytlińska zalewała się łzami, stwierdzając zarazem kto przybył pomodlić się za duszę nieboszczyka, a Muś w nowych rękawiczkach i lakierkach godnie i dostojnie sekundował matce.

Tegoż dnia pan Wojciech i rodzina Wolińskich odczytywali w Lublinie złożony tam testament.

W testamencie tym nie było o Pytlińskich ani słowa.

Z A M C Z Y S K O

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN



Wyszedłszy z weroneskiej bazyliki św. Zenona, „comtesse“ Dora Łubańska odetchnęła swobodnie niby uczennica po strasznie nudnym i długim wykładzie preceptora.

Wskazywano jej cechy charakterystyczne i piękno architektoniki romańskiej, podkreślając z naciskiem, iż ma przed oczyma jedyny, skończony i klasyczny jej okaz w północnych Włoszech, kazano jej wchodzić na drabinkę i oglądać jakieś szczerbate płótno, podziwiać zszeregowane kontreforty i fasadę transeptu, nawet zachwycać się jakimiś guzami, czy nabiciami na starożytnych podwojach.

Dość byłoby popatrzeć na popielate mury bazyliki, stwierdzić jej istnienie i dokładność Baedekera, unieść zadowolenie spełnionego obowiązku turystycznego i zwiewne wrażenie sędziwej świątyni, ale żeby wysłuchiwać na pamięć wyuczonej, sztucznym entuzjazmem podszytej gadaniny cicerone'a przez dobre pół godziny, kiwać głową jakiemuś opasłemu Beppo z udawanem uznaniem — to doprawdy zawiele dla

nerwowej, ślizgającej się po powierzchni rzeczy i życia córki Albionu.

Więc wyzwolona *comtessa* wskoczyła żywo w oczekujący samojazd, by jaknajszybciej uciec z nędznych krańców starego miasta, i skoro wehikuł ruszył, ozwała się do przystojnego, arcyeleganckiego małżonka z uczuciem pewnej ulgi:

So we have done old Verona! (Tak tedy skończyliśmy ze starą Weroną).

Otworzyły się wszakże przed nią nękający ją przesyt i otchłań wewnętrznej pustki.

Nie zaszczyciła już w przejeździe ani spojrzeniem dostojnego patyną wieków omroczonego placu dei Signori, ni koronkowego sarkofagu Scalligierów. Dość miała włoskiego nieba i piękna, nie wzdychała nawet do Florencji, gdzie państwo Łubańscy spędzili zimę w swej willi.

Na to, aby mieszkać przez zimę w modnym Egipcie lub Anglii, nie byli dość majątni; posiadali bowiem, albo raczej posiadała pani Dora tylko jakieś dwa czy trzy tysiące funtów sterlingów renty. Nie mogli przeto pozwalać sobie na ekstrawagancje ani obracać się w kołach „wyższych dziesięciu tysięcy”.

Dlatego to ładna i wytworna córka kupca hurtownego z City Londynu, panna Dora Fordham nie marzyła o poślubieniu angielskiego hrabiego ani baroneta, lecz zadowoliła się zagranicznym hrabią, znanym w londyńskich sferach sportowych i zajmującym

się końmi z talentem. „Stani” miał wybitne zalety: wzięcie i maniery prawdziwie arystokratyczne, jeździł konno sławnie, na posadzce salonu przedstawiał się doskonale i imponował powszechnie znajomością koni a zwłaszcza biegunów wyścigowych.

Przystojny kawaler podobał się jej odrazu i, skoro dowiedziała się, że jest hrabią, zakochała się w nim. Zakochała się w nim nawet „na zabój”, w swem przekonaniu, i z prawdziwą radością rzuciła się w jego ramiona, przybrała nazwisko, z którego trudnościami przez dwa lata nie uporała się jeszcze.

Zrazu miała poważne pretensje do języka polskiego za to, że pozwala sobie na dziwolągi dla angielski niestrawne i chciała poprostu zignorować emigracyjne kreski w nazwisku sportsmana. Po ślubie jednak zabrała się do tych kreszek na serjo, Pisywała swe nazwisko bez błędu, przestrzegała skrupulatniej od męża, aby na kartkach wizytowych nie zabrakło znaku nad „n” i kreski przez „L”. Z wymową szło trudniej, jednakowoż niekiedy udawało się jej doskonale. Była z tego dumna i w tych momentach rada był nawet, że nosi tak oryginalne nazwisko. Podejrzewała, że kryją się w niej fenomenalne zdolności do języków. Na rozwinięcie ich wszakże nie miała czasu.

Wiosną w okresie wielkich mityngów na turfie, państwo Łubańscy przebywali w Anglii, pędzili od jednej sezonowej rozrywki do drugiej. Dla hrabiego

był to okres pracy: musiał przecież zarobić sobie trochę grosiwa. Zaczem wyjeżdżał z żoną na regaty do Henley i na polowania z ogarami do hrabstwa Nortolk. Następnie, syci sielskich rozkoszy Łubańscy przewozili niezliczone bagaże do Szwajcarii lub Tyrolu, aby z nadejściem chłodów jesiennych spaść na Włochy i ze względów oszczędnościowych osiąść nad Arnem.

W ojczyźnie swego męża pani Dora nie była nigdy, głównie z tej przyczyny, że Stanisława nic nie ciągnęło do kraju. Wspominał o nim rzadko i przelotnie, a to co opowiadał o panujących w nim stosunkach, brzmiało wprawdzie oryginalnie, niekiedy śmiesznie, ale nie zachęcająco. Jedyne mówiąc o swych włościach na Litwie, „hrabia“ przybierał poważną minę, tem poważniejszą, że „skutkiem opłakanych warunków agrarnych, dobra przynosiły bardzo mało i administrator zalegał często z przesyłką pieniędzy“. Z tej przyczyny pan Łubański zrywał się, wypisywał sążniste apostrofy, chociaż żona uspakajała go. Doprawdy nie było powodu do chmurzenia się nad temi sprawami; nie chodziło przecież o sumy, które byłyby robiły różnice w ich budżecie, a Stani był szczególnie ładnym, gdy uśmiech okraszał twarz jego.

Nie chciała więc słyszeć o owych — zdaje się — Troszczynach na Litwie, czy jak się tam nazywały te nieznośne dobra, ani o Polsce wogóle, którą wyobrażała sobie mglisto, jako jakieś bezkresne równiny,

obfitujące w pokrzywy i brudnych żydów. W środku tej pustyni leżało miasto: *Warsaw*, gdzieś nad rzeką *Wołgą* czy inną. Na dalsze studia geograficzne i etnograficzne miła pani Dora nie miała poprostu czasu.

Tego wieczora Łubańscy wyjeżdżali do Wenecji z państwem Mapleson, którzy, lubo uchodzić mogli za globetrotterów, nie znali dotychczas miasta dożów. Zgorszona tem pani Dora przyrzekła oprowadzać ich po labiryncie uliczek, po oryginalnych osterjach i zakątkach. Jednakże po powrocie z bazyliki przestała uśmiechać się do niej wesoła włóczęga w miłym towarzystwie. Wenecja wydała się jej *overdone* — przerażająco, skandalicznie zbanalizowaną przez rzesze burżujskich turystów. Projekt postradał cały swój powab.

Upokarzało ją, że nie mogła nic przeciwstawić Maplesonom, opowiadającym cuda o czarach Singapory, o święcie chryzantemów w Japonji, o malowniczości Valparaiso, elegancji Buenos Ayres i przyjęciach na dworze wicekróla Australji w Sydney. A pani Dora nie wystąpiła nogą poza obręb mniej lub więcej wydeptanych szlaków podróżniczych w Europie.

Dopiero zaimponowałaby Maplesonom i wszystkim znajomym, gdyby poczęła prawić dziwy o swych dobrach *in Poland* i nieznanym tym, jakby w głuchej bajce pograżonym kraju.

Istotnie, powinna odwiedzić włości mężowskie, pobawić się rolą pani hrabiny w starym zamczysku Łubańskich, o jakim Stani przebąkiwał niekiedy. Nie znała nikogo prócz męża, kto byłby zapuścił się w nieznaną tę puszcę. A nie mogło to nawet być bardzo daleko!

Poczuła nagle potrzebę, niemal fizyczną, spędzenia kilku dni w prymitywnych warunkach bytowania, w otoczeniu dzikiem, stepowem, w krainie gdzie niema komfortu, niema ulubionej przez panią Dorę marmelady z pomarańcz, gdzie trzeba trząść się jakich dziesięć mil angielskich, nim napotka się dom mieszkalny, gdzie poddani padają panom do nóg a proszak perski jest zgoła niezbędny.

Pyszna myśl! Wprost z Wenecji puszcza się do owych dóbr w Polsce.

Pan Stanisław przyjął projekt żony kwaśno i cierpko. Żeniąc się, przewidywał, iż przyjdzie mu powieść żonę do włości jego — nieistniejących. Nie gniewał się jednak, gdy Dora nie zdradzała ochoty do poznania jego ziemi ojczystej. Gdy i później myśl taka nie powstała w jej głowie i o majątkach na Litwie mówiło się niby o niedosiężnych plamach na księżycu, miał wrażenie iż fantazja taka nie nawiedzi jej nigdy i czasem od niechcienia wspominał o starodawnym swym zamczysku omszałem, zgrzybiałem, pogrążonem w zadumie nad sławą rodu Łubańskich.

Aż tu raptem zachciało się tej kobiecie owego zamczyska! Niczem nie dała się odstręczyć od zamiaru. Już przechwalała się przed Maplesonami swą fantazją, obiecując sobie wiele nowych wrażeń.

Pan Stanisław znalazł się w niemałym kłopotcie, bo skąd u diabła wziąć na poczekaniu zamczysko?!

„Królestwo za zamczysko!“ — wołał w duszy, rozmyślając w głębokim fotelu hotelowej fajczarni nad „idjotyczną zachcianką“ żony.

Jednakże sprytny człowiek, który straciwszy elegancko mająteczek, musiał sobie radzić w wirach życia, pracą się nie hańbiąc, i w różnych niewyraźnych sytuacjach wynajdował zawsze wybieg, wykręt lub furtkę wyjścia, nie zatrzymywał się zbyt długo przy tem, czarnoksiężnika godnem zadaniu.

Z piasku i djabeł bicza nie ukręci, więc i on z niczego zamku nie wzniesie. Na Potemkinie zaś wzorować się nie mógł, gdyż Dora — zbliska obejrzeć pragnęła siedzibę Łubańskich.

Eureka! Już miał pomysł zbawczy!

Stasinek nie wciemię bity!...

II.

W kilka dni potem, gdy Łubańscy wrócili z wycieczki w towarzystwie do Wenecji, wręczono hrabiemu depeszę, która strapiła go niemało. Sprawą

czysto osobistą gentelman nie psuł przy obiedzie miłego nastroju, ale wkrótce opuścił przyjaciół.

— Czy jaka niemiła wiadomość? — pytała go żona.

Rzucił jej przed oczy telegram francuski i pograżył się w milczeniu. A pani Dora zawołała:

— Ależ to bardzo przykre!... Spaliło się zamczysko! Jaka szkoda! Właśnie teraz, gdy chcieliśmy je zobaczyć! Ale strata materjalna zapewne niewielka?

— Znaczna! — zaprzeczył emfaticznie pan Stanisław. Dobra całe tracą na wartości bez takiej ozdoby. Zresztą wisiał tam wcale niezły Rubens, prawdziwy Annibale Caracci, były gobeliny (co prawda zniszczone), było trochę mebli Louis XVI... (Muszę zatelegrafować z zapytaniem, czy nie uratowało się cośkolwiek z tego). Więc strata ogromna, która jednak wydaje się drobną wobec bolesnego faktu, że sędziwe gniazdo Łubańskich stało się pastwą płomieni, przestało istnieć... Zostały tylko zgliszcza...

Smutek rozlał się na obliczu hrabiego taki, że pani Dora rzuciła się mężowi na szyję.

— *Darling. I am so sorry...* Ty byłeś tak do tego przywiązany! Tylko prawdziwy arystokrata miłować tak może gniazdo swych praojców. Jak to pięknie!... Mimo wszystko jednak pojedziemy do twych dóbr! Zobaczymy te zgliszcza! Koniecznie musimy zobaczyć!

W uniesieniu pani Dora nie zatrzymała uwagi na tem, że Stani po raz pierwszy wspominał o Rubensie, gobelinach i cennyh meblach w zamku.

— Niema już po co jeździć. Przygnębiający czekałby nas widok..—mruknął Stani, robiąc sobie wyrzuty, że za dobrze gra rolę nieutulonego w żalu.

Przesłana z Warszawy depesza, donosząca o pożarze, usuwa główny cel projektowanej podróży—daremnie. Rozczulona bowiem i utwierdzona przez to w swej fantazji pani Łubańska rozgorzała zgoła niepohamowanym pragnieniem ujrzenia ruin zamczyska. Nie było na to rady.

Jakoż, uzbroiwszy się w paszporty, państwo Łubańscy wyjechali w drugiej połowie października do Warszawy.

Przedstawił się im tam w hotelu czerstwy, dobrze odżywiony i mchem zaściankowym obrosły obywatel ziemski, pan Wojciech Szydłowicz. przez dawnego sąsiada, pana Stanisława, wezwany telegraficznie.

Sama myśl o pani Dorze przejmowała pana Wojciecha respektem. „Eritierka“ krwi angielskiej, osoba „wielkiego“ świata, o którym miał mglisto-złote wyobrażenie na podstawie niegdyś na ławie szkolnej czytanych powieści, wydawała mu się kwiatem, z lepszego pnia wyrosłym, ptakiem rajskim czy drogocennym kolibrem, przypadkiem spadłym w szczęśliwe dłonie pana Stanisława. Cieszył się, że

będzie mógł pochłubić się jej znajomością.

Więc stanął przed nią sztywny, służbisty, ze zmieszanem uczuciem ciekawości i lęku, jaki chwycił za łydki starożytnych greków w przeczuwanej obecności bogów.

A pan Stanisław, przedstawivszy go żonie, bąkał po angielsku na stronie:

— To nasz plenipotent.

Pan Wojciech nie rozumiał. Niewiele opowiedzieli sobie z panią Dorą, gdyż po angielsku i po francusku tyle umiał, ile ona po polsku. Próbował tylko wykrztusić kilka francuskich frazesów, brak słów wynagradzał powłóczytymi spojrzzeniami i czołobitemi pokłonami, za co odbierał królewskie, łaskawe uśmiechy, niby giermek.

Po takiej rozmowie pan Wojciech odetchnął, znalazłszy się sam na sam ze Stanisławem, odzyskał zwykłą swoaodę i zaczął unosić się nad elegancją i wykwintem pani Łubańskiej, na co małżonek jej odrzekł:

— Wszystko to pięknie, mój drogi, ale do kapitałów jej ojca nie mogłem dotychczas się dobrać Nic tylko renta..

— Może to i dobrze dla ciebie...

— Dobrze?! — zawołał zgorszony pan Stanisław. — A czy dobrze, że musiałem ci odmówić pożyczki, o jaką mnie prosiłeś?... Bardzo było mi to przykro.

Pan Wojciech zwiesił głowę.

— Fatalne miałem lata. Na domiar gorzelnię djabli wzięli...

— To doskonale! Pisałeś mi coś o tem. Pamięć mnie nie zawiodła.. Gorzelnia twoja stała poza ogrodem, prawda?

— Tak.. — odparł p. Wojciech, zdziwiony radosnym tonem przyjaciela.

— Nic nie zostało z jej murów?

— Część ściany, okopcone gruzy, zgliszcza...

— Doskonale!... Słuchaj! Muszę z tobą pomóc jak przyjaciel z przyjacielem. Musisz oddać mi drobną przysługę... Odwdzięczę ci się za to; postaram się chociażby z piekła i pożyczę ci jaki tysiąc funtów sterlingów, dziesięć tysięcy rubli.

— A co mógłbym zrobić dla ciebie?

— Bagatela... Otóż, pojedziesz najbliższym pociągiem do siebie — z koszem szampana, smakołyków i słodyczy. Ugościsz nas u siebie przez dzień lub dwa, prawdziwie po pańsku, przyjmiesz bramą tryumfalną, festonami i rabatami kwiatów, spędzisz kilku grajków...

— Jeśli tylko o to chodzi... Z prawdziwą radością.

— Chciałbym mojej żonie pokazać wieś polską... Może są w naszej okolicy jeszcze piękniejsze od twego majątku, ale twoja Szydłówka jest mi naj-

milsza... Taka nawskroś polska, taka charakterystycznie polska ze swemi topolami, lipami..

— Daj się uściskać, Staśku! Kilka lat spędziłeś za granicą, a jednak jesteś nasz... Szlagon, którego ciągnie do ziemi. Jeszcze kupisz sobie majątek w mojem sąsiedztwie...

— Może, może... Jeszcze jedna prośba. Nie zapraszaj nikogo, zgoła nikogo z okolicy, chyba, że moja żona pragnęłaby poznać więcej ludzi. Nie chcę cię wystawiać na wydatki, na wielkie biesiady. Zresztą z tobą i przezacną twoją panią Wandą (zawsze tak ładna?) będzie nam najlepiej. Jeśli wspomniałem o szampanie, to tylko dla tego, że żona moja przyzwyczajona jest do zbytków, do pewnego luksusu. Chodzi mi o to, aby wieś polska przedstawiała się jej jaknajkorzystniej, o ile możliwości trochę romantycznie.

— Rozumiem. Postaramy się o to, aby wywiozła do Anglii jaknajlepsze wrażenie.

Istotnie pan Wojciech ze swą połowicą dołożyli wszelkich starań.

Czterokonny pojazd, wiozący państwa Łubańskich, wtoczył się do ogrodu Szydłówki przez barwną, kapiącą od kwiatów bramę tryumfalną z napisem: „Witamy!“, nad której wzniesieniem pracował lud, w mniemaniu, że przybędzie biskup i uszczęśliwi go błogosławieństwem. Przed t. zw. pałacem porządek panował taki, jakiego nie pamiętali najstarsi ludzie.

Ogrodowczyk, do stołu usługujący, przekształcił się w wyfrakowanego lokaja. Sypialnia gości obwieszona była adamaszkami, przez mole uszkodzonymi, stół uginał się od sreber pożyczonych, a w czasie obiadu, do którego zasiedli prócz pp. Łubańskich tylko pan Wojciech z ublanżowaną na tę okazję żonę i przelęknionemi tem wszystkim dziećmi, przygrywało pod oknem kilku żydków.

Nigdy pan Stanisław nie był więcej olśniewającym. Promieniował radością i humorem. Panią Szydłowską obsypywał raz wraz komplementami, aby za chwilę śmiać się przed żoną z niemodnej a pretensjonalnej tualety. Bawił panią Dorę ciętymi uwagami o plenipotencie i jego małżonce tak, iż nawet angielfka stawała w ich obronie z całą pobłażliwością i łaskawością pani dla „pocziwych“ oficjalistów, którzy wprawdzie ośmieszali się pod tym i owym względem, ale zgotowali dziedzicze serdeczne przyjęcie.

W nagrodę za to olśniewała ich ogniem swych brylantów, połyskiem zbyt dużych zębów i uśmiechem blado-niebieskich oczu, pod wpływem szampana nabierających fosforycznych blasków.

Mrok zapadł, gdy powstało od stołu. Wtedy pan Stanisław zaprojektował przechadzkę po ogrodzie. Na chwilę powstrzymał panią Dorę tłum kobiet wiejskich, wystających przed pałacem, które, napróżno oczekując widoku biskupa, pożerały oczyma wybry-

lantowaną damę. Ujęta tem angielfka zaczęła rozdawać im pieniądze, a pan Stanisław szepnął na ucho przyjacielowi, że możnaby zaimprovizować coś w rodzaju dożynek.

Wreszcie pociągnął żonę na krańce ogrodu, gdzie na tle bezksiężycowej, głębokiej nocy odrzymał się niby czarna baszta, mur posępnego schroniska nietoperzy.

Tu pan Stanisław stanął jak wryty — w przyzwoitej od zgliszczów odległości, i zapadł się na dno melancholji, w toń zadumy bajronisty. Przemienił się w posąg żałoby i smutku.

Pani Dora zrozumiała go. Wsunąwszy rękę pod jego ramię, przytuliła się do męzowskiego boku z szeptem:

— Ach, jak ty odczuwasz to pięknie!..

On przycisnął jej rękę do ust, przysłonił oczy dłonią i trwał w milczeniu przez chwilę, aż, zadając sobie widoczny gwałt, zwrócił się szybko z powrotem do pałacu.

Kochająca żona zrobiła mu miłą niespodziankę.

Nazajutrz rano wymknęła się z domu na ruiny męzowskiego gniazda rodzinnego. Nie oglądała go dokładnie, nie wstąpiła na nie, aby nie zawalać buczików na gruzach, wiankiem błota otoczonych, niegościnnych i snadź za przygodny śmietnik służących! Ale sfotografowała je i Stani zdziwił się niezmiernie, gdy pewnego dnia w ich willi nad Arnem ujrzał nad

swem biurkiem powiększoną i ładnie oprawioną fotografję.

— Cóż to jest? — zawołał.

— Nie poznajesz?!

— Ach! Mój Boże... Zamczysko... — westchnął żałośnie hrabia.

ZEMSTA ŚW. ANTONIEGO

Z sypialni pani Heleny rozlegał się po pokojach jej podniesiony, alarmujący głos:

— Broniu! Broniu! — wołała, a z tonu wykrzyknika służba wnioskowała, że zaszło coś, co źle wpłynęło na humor ich chlebobawczynie, zwykle pogodnej i wesoło żeglującej przez życie.

Jeżeli jaka dama na balu zaćmiła ją swą toaletą, upolowała lepszego partnera do foxtrotta, jeżeli przyjaciel domu, a przyboczny jej giermek, pan Wacław nie stawił się na umówioną godzinę i kazał jej czekać, jeżeli mąż próbował nakłonić ją do ograniczenia wydatków i prawił jej kazania na temat rozrzutności, zirytowana dama wylewała swe niezadowolenie na głowę garderobiany Broni, która wszakże nauczyła się nie brać rzadkich takich zaćmień słońca serjo. Z niezamąconym spokojem uśmierzała zwykle komplemencikiem wzburzone wody, pogodziwszy się z tem oddawna, że była mniej lub więcej winna wszystkiemu, co zepsuło harmonję bytowania hrabiny.

Dnia tego zdarzyła się rzecz przykra, na lazurówem tle istnienia pani Heleny niemal katastrofalna. Otóż zgubiła ona piękną, złotą papierośnicę wysa-

dzoną turkusami, miły, pamiątkowy dar od pana Wacława. Zachodziła w głowę, gdzie mogło się to zapodziać a do funkcji Broni należało przejmować się takim wypadkiem żywo. Przeszukała sypialnię i buduar, telefonowała na wsze strony do znajomych swej pani i do sklepów, do jakich dnia tego hrabina wstępowała, z zapytaniem, czy pani Helena nie zostawiła tam papierošnicy i wreszcie przyjęła na siebie winę, przyznając niejako w zasadzie, że gdy pani jej coś zarzuci lub zgubi, jej psim obowiązkiem jest odnaleść przedmiot.

Nie wiele to wszystko pomogło, gdyż nie zastało papierošnicy, a pani Helena nie mogła pogodzić się z tą stratą. Po dłuższej konferencji z Bronią przyszła do przekonania, że najprawdopodobniej zgubiła papierošnicę gdzieś na ulicy. Zdaje się w okolicy Alei Ujazdowskiej.

Jak ją odzyskać? Odrazu coś jej podszeptało, by zwrócić się z nabożną prośbą o pomoc do św. Antoniego. Bronia była tego samego zdania. Przypomniała, jak to już raz przyszedł jej on z pomocą w sposób fenomenalny. Za jego świętem zrządzeniem odnaleziono zaginiony kolczyk brylantowy. A ileż to naszukano się wówczas tego butonu! Dom cały przewrócono do góry nogami. Pani Helena ślubowała przeto, że ofiaruje do puszki świętego Antoniego sto marek na intencje odnalezienia kolczyka. I — rzecz wręcz nadzwyczajna — już w kwadrans potem miała

buton. w ręku. Garderobiana odkryła go w łóżku swej pani, poprzednio kilkakrotnie poszukiwanem. Uwiśł u brzegu materaca. między nim a listwą łóżka.

Aż śmiech pusty napadł panią Helenę wobec tak łatwego rozwiązania zadania. Doprawdy, że ta gapa Bronia nie spostrzegła odrazu brylantu przy materacu!?... Nasunęła się zatem kwestja, czy niedbałość garderobiany nie odegrała tu większej roli od udziału świętego Antoniego, a powtóre, czy i bez przyczynienia się świętego Antoniego buton nie byłby się odnalazł wkrótce.

Na zagadnienie to hrabina nie dała sobie nigdy jasnej odpowiedzi. Jednakże im więcej sprawa kolczyka szła w zapomnienie, tem silniej osadzało się w niej mgliste przekonanie, że uczepiony u materaca kolczyk byłby niewątpliwie zabłysnął w jej uchu niebawem nawet bez pomocy świętego Antoniego. Po prostu nie mógł zginąć. Nie sztuka była go znaleźć.

Z tem niezrealizowanem przekonaniem, sprowadzającym udział łaski św. Antoniego do zera, pani Helena nie spieszyła się z włożeniem do puszeki ślubowanej ofiary. Raz, zapisać to trzeba na jej dobro, po mszy niedzielnej przypomniła sobie o tem, lecz przy wyjściu z kościoła powstała taka ciżba, iż byłaby zmuszoną przeciskać się do puszeki przez zator albo czekać, aż kościół się wyludni. A nie chciało się jej jakoś; dała się wynieść z kościoła ze strumieniem osób. Później zaś rzecz utonęła w niepamięci.

Teraz wszakże, gdy w nowej sprawie miała uciec się do łaski świętego, uprzytomniła sobie, że wówczas uchyliła się od ofiary i tak, ściśle biorąc, oszukała św. Antoniego. Bo, bądź] jak bądź powinna była włożyć do puszeki jego sto marek.

Ozwał się w niej wyrzut sumienia, na tle obawy, czy św. Antoni zechce teraz wysłuchać prośby grzesznicy.

Nie! Zaprawdę nie można liczyć na jego łaskę, dopóki nie spełni ona tego, co ślubowała.

Niezwłocznie udała się do Wizytek, łamiąc sobie głowę nad tem, azali nie należałoby przewalutować owych stu marek. Przyszła jednak do przekonania, że nie. Bo cóż mogła obchodzić świętego Pańskiego istotna wartość banknotu? Mimo to uznała za stosowne, niejako tytułem kompensaty, hojną złożyć ofiarę w puszcze na intencję odnalezienia papierośnicy. Dziesięć milionów. Wrzuciwszy tę sumę do puszeki, miała błogie uczucie, że opłaciła sownie swą dawniejszą niedbałość. A nie zapomniała także dołączyć do tego stu marek, poczem wyszła z kościoła z czystem sumieniem i głęboką wiarą w łaskę św. Antoniego.

Wtajemniczony w to pan Wacław radził, by zapytać się w biurze policyjnym, czy kto nie złożył tam znalezionej papierośnicy. Gdy zaś służąca wróciła z niczem, ofiarował się umieścić i istotnie umieścił

w dziennikach ogłoszenie, obiecujące sowite wynagrodzenie uczciwemu oddawcy.

Minęła odtąd doba i nikt się nie zjawiał. Nadzieja odzyskania cennego przedmiotu gasła i już pani Helena poczęła myśleć nad tem, czy p. Wacław, pełen delikatnych uczuć, nie przyniesie jej drugiej, podobnej papierošnicy, gdy z wieczora słuŹąca oznajmiła, że przybył jakiś człowiek z ludu z papierošnicą.

Brawo! Nie myliło jej przeczucie! Nie zawiodła się w ufności pokładanej w łaskę wielkiego i prawdziwego świętego Antoniego.

Uradowana pani Helena kazała wpuścić przybyśa do pokoju.

Drzwi otworzyły się dyskretnie i wszedł na palcach, cichuteńko jak duch czy złodziej, podstarzały mężczyzna ze srodze rozczochraną czupryną, w rozdeptanem obuwiu, suchem błotem czule oblepionem, i w ciemnem jakby ze śmietnika wyłoniönem łachmańniastem odzieniu. A wraz z nim wszedł silny zapach gorzałki.

Nie zważając na nic, pani Helena ozwała się żywo:

— Znaleźliście moją złotą papierošnicę?

Trzęsącemi rękoma przybysz wydobył leniwie, bardzo leniwie kraciastą chustę z kieszeni i zabierał się flegmatycznie do rozwinięcia jej, mówiąc:

— Proszę wielmożnej pani dobrodziki... Znalozłem... (Człek się na takich rzeczach nie zna.) Zna-

łożem papierośnicę. Piękności. Pewnikiem złoto, proszę wielmożnej..

Nie odsłaniając przedmiotu, złamał się w pół ostrożnie, by nie obalić się, i machnąwszy lewem ramięm szarmacko tak, iż palcami dotknął posadzki, wyraził jej swój najgłębszy szacunek.

— Należałaby się człękowi jaka nagroda, proszę łaski wielmożnej... — wybełkotał z żalosnem, płaczkliwym westchnieniem i dodał: Święty Antoni dopomóż!

— Zaraz wam wręczone nagrodę. Ale gdzie papierośnica? — zawołała zniecierpliwiona dama ostro.

„Człowiek z ludu” próbował jeszcze bełkotem wyżebrać w pierw wynagrodzenie, ale pani Helena wielce tą uwerturą znudzona, krzyknęła na niego z nieoczekiwaną stanowczością. Chciała jaknajprędzej uwolnić się od zapachu wódki. Położyła jednak na stół kilka banknotów dla zachęty. Więc wreszcie woniejący jegomość raczył wydobyć z pod ogromnej chusty papierośnicę — papierośnicę wprawdzie „złotą”, ale widocznie niegdyś pozłacaną i ze złotej powłoki odartą, a w pośrodku wgniecioną, miejscami rdzawą i całkiem bezwartościową.

Zaledwie „uczciwy oddawca” zdążył położyć na stole skarb, chyba z barłogu wygrzebany, pani Helena zirytowana krzyknęła:

— Wynosić się!

Przybysz chciał długiemi ramieniem i miękką dłońią sprzątnąć błyskawicznie leżące na stole banknoty, lecz spoczęła na nich ręka pani Heleny.

— Toć za fatygę... proszę wielmożnej...

— Wynosić się! Pijaczyna!...

Gość odskoczył do drzwi, a gdy pani Helena nacisnęła na guzik dzwonka, znikł z pokoju. Pozostały tylko: papierośnica i zapach gorzałki.

Wzburzona pani Helena długo nie mogła się uspokoić, bo miała wrażenie, że zadrwiono sobie z niej bezczelnie, dano jej szcztka w nos. Skutkiem tego dostało się Broni, a nawet panu Wacławowi, który wszakże — lubo czując co go czeka — przyjął potok słów, niosących jakieś wyrzuty pod jego adresem, z pokorą, uległością oraz nieznacznym uśmiechem w kącie ust.

Wreszcie westchnął, zrezygnowany na to, że wkrótce przyjdzie mu zgubioną papierośnicę zastąpić nową, i, całując pachnącą rączkę pani swego serca, otworzył jej oczy. Bąknął:

— To... zemsta świętego Antoniego.

BOBO

Nazywam się Bobo.

Jestem śliczny.

Powtarzają mi to wszyscy do znudzenia, wyśpiwują nad uszami z różnych tonów, gubiąc się w zachwycie nad futerkiem ze śnieżnych kędziorów, pokrywającą moją miniaturową, szlachetno-krwistą, psią osobę. Dla pani Jadwigi, nie mającej dzieci, jestem upieszczonem, jedynem „bobo“, sławionem w prozie i w dytyrambach przez jej przybocznych poetów, malowanem akwarelą i olejnymi farbami przez jej rozlicznych wielbicieli — najmilszem pod słońcem, nieodstępny stworzonkiem, które ona sama kąpie w sodzie, myje, karmi łakociami i układa do snu delikatnymi, jedwabistymi rączkami.

Nigdy nie dostępuje tego zaszczytu t. zw. „femme de chambre’a“. Nie znoszę bowiem hołoty, stronię od motłochu, a w szczególności od tej służalczej, kociej istoty. Z pośród służby uznaję tylko kucharkę, bo to szczerza, serdeczna kobiecina i wcale nieźle gotuje.

Dni me biegną jak paciorki nanizane na przedziwną nić olimpijskiego spokoju i beztroski, niedo-

ścignionej dla człowieka. Gdy rano pokojówka pojawi się w sypialni, podnoszę się z mego koszyka, wystanęgo różnobarwnymi szmatkami z tkanin drogocennych i wybiegam sobie na harce do ogródka. Jeśli brykam zbyt długo, pani Jadwiga śle po mnie służbę z utęsknienia za swą pieśczętą i z obawy, aby mnie nie skradziono. Biegnę, suwam po schodach, o ile pozwalają mi me krótkie nóżeta i wpadam do sypialni z radosnem warknięciem na dzień dobry.

A ucieszona mym widokiem pani woła pieśczętliwie:

— Bobol... Bobuś! Gdzież to był śliczny piesek?!... Gdzie?... Chodź tu!

Nie zaraz. Ociągam się trochę. Kobiety lubią fanaberje, figielki, tak jak słodycze. Warknę przeto, szczeknę raz i drugi wesoło, potrząsnę kłapouchym łebkiem, aż kędziorki zadygotają jakby szlarki, potem przyczaję się na dywanie wachlując piuropuszystym ogonkiem i wreszcie, odsadziwszy się—bęc na kołdrę. Liznę moją panią w uszko, w lico i znikam pod rąbkiem kołdry, tulę się do ciepłej, bujnej jej piersi. A ona poczyna szczebiotać figlarnie:

— Kto ci pozwolił?... Rozpieszczony!... Przebrzydły!...

Wygrzewam się tak rozkosznie, póki nie pojawią się me biszkopty i różki na śniadanie. A w ciągu dnia, o ile nie wyjeżdżamy powozem na spacer, spoczywam na tureckiej otomanie, gdzie mam dużą,

piękną, karmazynową poduszkę, na której śniegi mych kędziorków wydają się szczególnie pięknie.

— Istna owieczka — woła ten i ów nademną i to gniewa mnie, bo jak można szlachetny okaz najszlachetniejszego zwierzęcia porównywać z tak głupiotkiem bydlątkiem. Ale trzeba uzbroić się w ogromną wyrozumiałość dla płytkości umysłowej i ciemnoty człowieka, dla którego zupełną jesteśmy zagadką.

Marne i nieszczęsne to plemię ludzkie! A tak podłe, że z wieżycy mego stoicznego spokoju jedynie pogardą darzyć je winienem, gdyby do mego dobrego, psiego serca nie przemawiało to, że najszlachetniejsi ludzie są najnieszczęśliwsi.

Marne to zwierzę! Jakby przyznając pokryjomu, że w głębi serca ma się za nędzną istotę, którą natura powołała do istnienia wtedy, gdy nie stało jej już ani sił, ani dowcipu, wstydzi się człowiek samego siebie wobec bliźnich i siebie. Wstydzi się swego ciała, jego naturalnych funkcji, jego nagości, kształtów, poczytując nagość za rzecz zdrożną, kult ciała za grzech i najwyszukańszymi płatanami maskując brzydotę i niedostatki zewnętrznej pokrywy.

Wstydzi się niemniej swych poglądów, uczuć, myśli, swej jaźni. Skrytość przeto stała się rdzenną częścią jego natury i nawet wtedy, gdy pragnie wyśpowiadać się, wyłonić wszystko z dna duszy, słowa nieudolnym bełgotem więzną mu w gardle, a ubóstwo

wyrazu potęguje obawa, by nie ujrzał całej swej maroty w pełnym świetle prawdy.

A wstydząc się siebie, wynosi jednak głowę nad inne zwierzęta, które się siebie nie wstydzą!

Od dziecka już człowiek przerabia się na coś lepszego, czyli „uszlachetnia“ ułomne dzieło natury, poddając się różnym wyrafinowanym mękom. Bo każdy chce być innym niż jest i uchodzić wobec świata za coś innego, lepszego, więc dręczy malców, żądnych zabawy, jakimiś naukami, na każdą życia chwilę wydaje przepis, co, jak i kiedy robić wolno i nie wolno. I tak nakręcany przez innych, przez okoliczności i tysiączne względy automat ludzki musi wykonywać miliony czynności wstrętnych, niezgodnych z swem anemicznem, zbrukanem, w kajdany zakutem ja. Idzie więc manekin przez życie niby przez szpaler różg, czy przez zaciąg, który pełni za skromne wynagrodzenie dopóki zużytej maszyny nie pochłonie śmierć. Nawet jeść i spać — nawet modlić się i bawić — nawet kochać może człowiek w czasie przez świat oznaczonym. Jeden człowiek zamienia drugiego w niewolnika, a wszyscy razem wspólnie krępują ludzkość.

Nędzne to życie ludzkie! Nędzne, bo obracające się jak kołowrotek wokoło ośrodka nie mającego nic wspólnego z istotnym celem życia, którym jest życie samo — bo jest gonitwą nieustanną za groszem, bez którego my, psy, żyjemy tak dobrze, a gonitwą tem

głupszą, że żaden biegun nie znajduje nic, czego mu los nie położy na torze jego — bo jest czemś w zarodku przez mamonę wykolejonem, zatrutem, zwichniętem. Miasto żyć, człowiek pracuje na życie, miasto być sobą, stroi się w pożyczane pióra pawie i papuzie, miasto wydobywać z posad swej duszy iskry swoiste, promieniste, bieży jak osiołek z pochyloną głową wydeptanym szlakiem do żłobka.

Dzięki Bogu za to, że nie stworzył mnie człowiekiem!

Spoczywam sobie na poduszce, w beztrosce i ataraksji olimpijskich bogów, zatopion w słonecznej nirwanie i spozieram jak na kiepską farsę na ową „Sansarę“, świat chuci i żądz, świat, który nie powinien istnieć!...

Czasem tylko drażni mnie głupia ludzka zarozumiałość, która jest formalnem uznaniem potrzeby drapowania się w wielkość, czyli uznaniem istotnej swej nikczemności. Nawet taki skończony bałwan, jak pan Alfred, jeden z pendzlarzy gremialnie zwanych artystami, zbliża się do innych z poczuciem urojonej wyższości, a na mnie spogląda niby na bezmyślne cacko. Moją panią zaś ma on za kozicę, którą ruty-nowany łowiec może upolować snadnie. Jakoż, ile razy wchodzi do salonu, zadzieram ogon i wyprowadzam się w milczeniu, jakim my, szlachetne stworzenia, wyrażamy pogardę.

Bo czemuż on to góruje nademną? „Duszą“. Można by zawyc z litości nad człowiekiem, który pyszni się czemś, czego nawet zgodnie określić nie zdolen. A jednak twierdzi, że ja nie mam duszy... Ukuł sobie aksjomat, na którym, jak na złotogłowie może usłać się do snu o wielkości rodzaju ludzkiego, obdarzonego mową... Bo taki pan gotów z daru mowy robić atut przeciwko innym zwierzętom i tytuł „króla wszechstworzenia!“ A tymczasem ja, niemy, bezduszny piesek, dotknąwszy raz nosem łydek pana Alfreda, wiedziałem o nim więcej, niż wszyscy jego znajomi i on sam o sobie. Nie mógłby mi powiedzieć nic nowego, co byłoby warto wiedzieć. Znam go na wskroś. W moment bowiem odczułem promienie jego ciała, zgłębiłem zatem instynktownie i odgadnąłem syntezę jego istoty, w mgnieniu oka zróżnickowałem ją, oceniłem jego i jego substancję życiową.

Ludzie zaś miłą językami jak rozhukane, puste młynki, aby ostatecznie nic sobie nie powiedzieć. Zwykle nie chcą sobie nic powiedzieć, jeśli chcą — nie umieją, jeśli umieją — nie mogą. Mowa ludzka jest pustym dźwiękiem, w najlepszym razie tyle wartym co śpiew słowiczy, tymczasem mój szlachetny nos jest błyskawicznym, nieporównanym wartościomierzem. W nosie swym ma pies stokroć więcej rozumu niż człowiek w całej głowie. Lecz cóżby ludzie robili na świecie, gdyby nie mówili?...

Pan Alfred jest tylko tyle wart, o ile mówi, a o wiele mniej niż jego słowa. Im więcej przyglądam się takim ludziom, tem goręcej muszę wielbić swoją psią naturę.

Zanadto kocham moją panią, abym nieczule miał ją wydawać w objęcia tego pokroju osobnika. A dzięki sztuce zdobywania serc, napięciu woli i rozpędowi pan Alfred działał na panią Jadwigę tak, że poczytała się chwiać w sobie, słać w jego ramiona. I, gdyby nie Bobo...

Drzemałem na otomonie, w pobliżu małego inkrustowanego stolika maurytańskiego, na którym ustawiono kilka starych cennych filiżanek z porcelany saskiej, serwskiej i wortsterskiej, a do snu kołysały mnie tony dwugłosu, płynące przez uchylone drzwi z salonu, gdzie pan Alfred siedział na taburecie i tonął wymownymi spojrzeniami w źrenicach mej pani, nucąc jej coś na nutę Filona.

Lubię czasem muzykę ludzkiego głosu, aczkolwiek treść słów nie zajmuje mnie prawie nigdy. Zresztą mniejsza o to, co się mówi! Za pomocą słów, chociażby najkunsztowniej dobranych, nie można omdać i zdobyć kobiety; wszystko zależy od brzmienia i intonacji głosu, od myśli ukrytej po za przysłoną dźwięków, od chwilowego promienowania ciała, od iskier ocznych, towarzyszących mowie, od psychicznego nastroju, od muzyki serc.

Na wstępie pan Alfred mówił, zdaje mi się, coś w tym sensie:

— Prześlicznie pani dziś wygląda. Pani codzien ma swój „beau jour”...

Powitanie to oblało lica pani Jadwigi słonecznym blaskiem. Im kobieta starsza, tem więcej lubi komplementy; złoconą i zdawkową gwiazdkę, którą odrzuca szesnastoletnia dziewczyna, przytula do piersi jak złoto kobiecość w pełnym rozkwicie.

A pan Alfred wyczuwając chytrze pomyslną dla siebie chwilę, wplótł niebawem w tok rozmowy, snującej się w abstrakcjach. ciche westchnienie.

— Cudne są te chwile, które wolno mi spędzać z panią sam na sam, bo wtedy wchłaniam w siebie czarowny perfum jej osobowości, poję się nim, upajam, śnię...

A gdy to nie przebrzmiało bez wrażenia i pod czarem tych dźwięków twarz pani Jadwigi pochyliła się z dziewiczą wstydlivością dziewczyny ugodzonej w serce strzałą kupidyna, amant wyszeptał.

— Chciałbym stopić się w blasku żrenic pani na szlachetny kruszec i w kształcie serca spocząć na jej łabędziej piersi...

Żar erotyczny rozlał się w atmosferze salonu, otaczał głowy upojonym zapachem kwiatów rajskich czy pomarańczowych gajów, podniecał tętno serc, siał obietnicę soczystych owoców rozkoszy.

— Mieć panią przed oczyma—snuł dalej różaną przędzę, pieszcząc jej ucho rozmarzonym szeptem — to znaczy... kochać, a kochać panią przez chwilę to znaczy mieć ją do śmierci przed oczyma duszy...

Pani Jadwiga zacichła zupełnie. W ponsowej ciszy mocowały się ich serca, staczały bój ostatni i ważyły się losy...

Najeżyłem uszy.

Gdyby ich istoty były spojone nicią zasadniczej sympatji, gdyby akordy takie płynęły z serca a nie z głowy, gdyby Eros stał przy nich a nie Pryap ordynarny z gitarą trubadura, byłbym z pewnością... usnął smacznie i głęboko. Wszelako w tym wypadku musiałem czuwać, obmyśleć doraźną akcję ratunkową.

Po chwili doleciał mnie szept płomienisty, rubinowy, żebraczy:

— Jeden uścisk... jeden!

A ona broniła się jeszcze słabem mdlejącem:

— Nie... nie...

Gdy nagle niby grom runął w czarowną ciszę brutalny szcęk, porwał, i przeciął złotą nić miłosną.

Z inkrustowanego stolika przy mej otomanie spadła filiżanka i rozbiła się w kawałki...

Nim zerwali się z siedzeń, Bobo jednym susem znikł z buduaru.

Pani Jadwiga zelektryzowana wpadła do gabinetu i załamała dłonie.

— Boże!! Filiżanka z sylwetką babkil...

Pan Alfred stał nad skorupami oniemiały, bezradny.

— Najdroższa pamiątka po babce — wyszeptła łzawo moja pani i po chwili ciągnęła:

— Właśnie ta jedna spadła i rozbiła się... Inne nienaruszone... To dziwne!...

Nastało milczenie, w którym rozwiewały się ostatnie gazy erotycznego nastroju i konały nadzieje pana Alfreda.

— To znak... — rzuciła pani Jadwiga dramatycznie.

— W istocie dziwne — bąknął wreszcie malarz.

— Nie było, zdaje się, najmniejszego wstrząśnienia, łoskotu. Nikogo niema w buduarze... Ale może Bobo potrafił stolik!...

— Niema go... Zresztą niepodobna... Właśnie ta filiżanka! Boże!... Najukochańsza pamiątka; pamiętam, co mi mówiła matka...

Zbudziwszy się z zamyślenia, przeszła do sypialni, gdzie ujrzała mnie zwiniętego przykładnie w kłębek na tkaninach. Bobo spał jak zarżnięty!...

Gdy ręka jej spoczęła na mych kędziorkach, raczyłem odsapnąć, podnieść na nią zaspane oczy i machnąć ogonem.

Na twarzy jej nie ujrzałem ni śladu miłosnego wzruszenia. Z chmurką zadumy powróciła do buduaru, mówiąc:

— O filizance tej opowiadała mi kiedyś matka...

Pan Alfred nie był ciekawy co opowiadała jej matka; w przekonaniu, że nie zdoła spłoszyć cieniów z jej czoła i nawiązać przerwanego ogniwa, pożegnał ją wkrótce, pytając znacząco:

— Czy mogę przyjść jutro?

Pani Jadwiga pożegnała go chłodno.

Gdy lokaj podawał mu pałto w przedpokoju, wsunawszy się za nim, na pożegnanie przytknąłem jeszcze nos do buta pana Alfreda i wyrządziłem mu... szpetny despekt, poczem co tchu dałem nogę, by nie spotkać się z tym butem więcej.

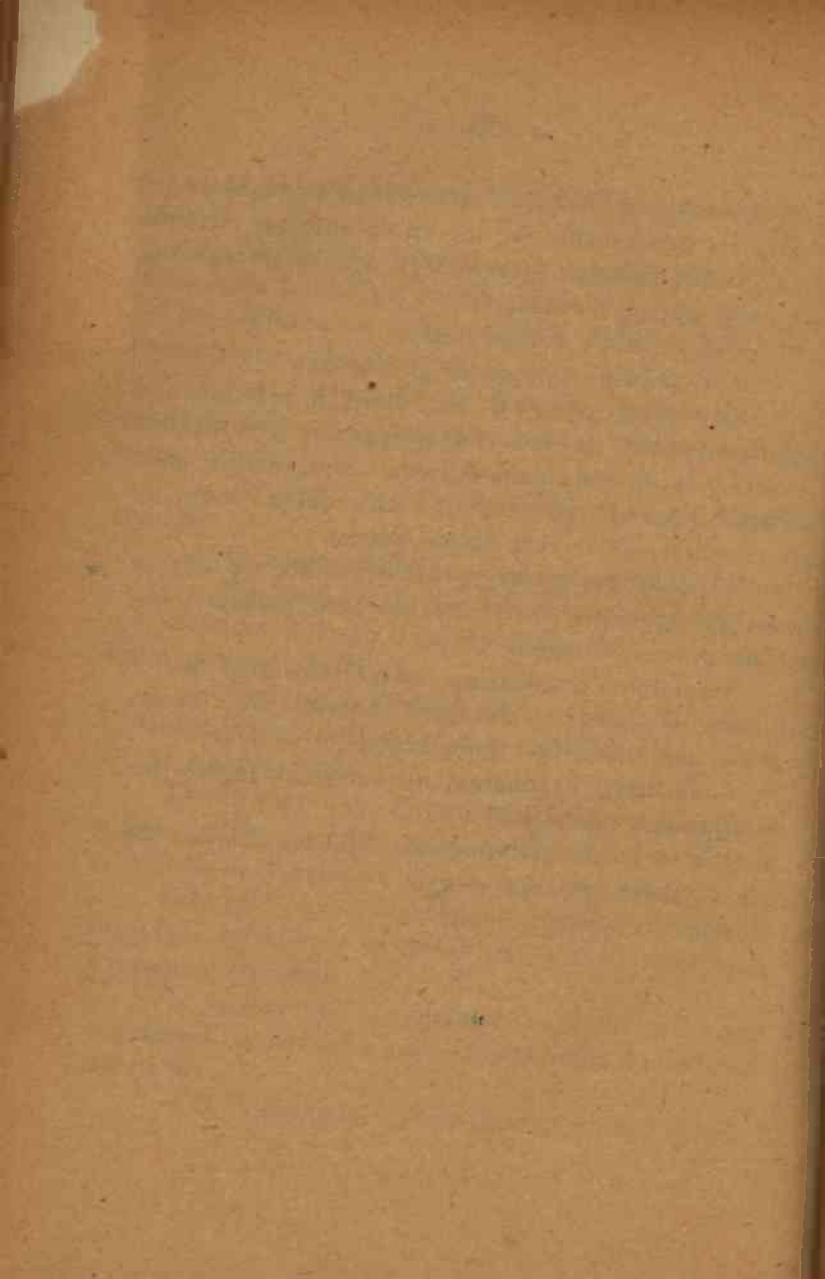
Wiść o mej czelnej sprawce dostała się natychmiast do pokojówki, a od niej do pani Jadwigi i wywołała potężne wrażenie.

Sromotnie ośmieszony amant nie miał po co wracać. Wprawdzie nazajutrz pojawił się jeszcze u drzwi mej pani, lecz „nie zastał jej w domu“.

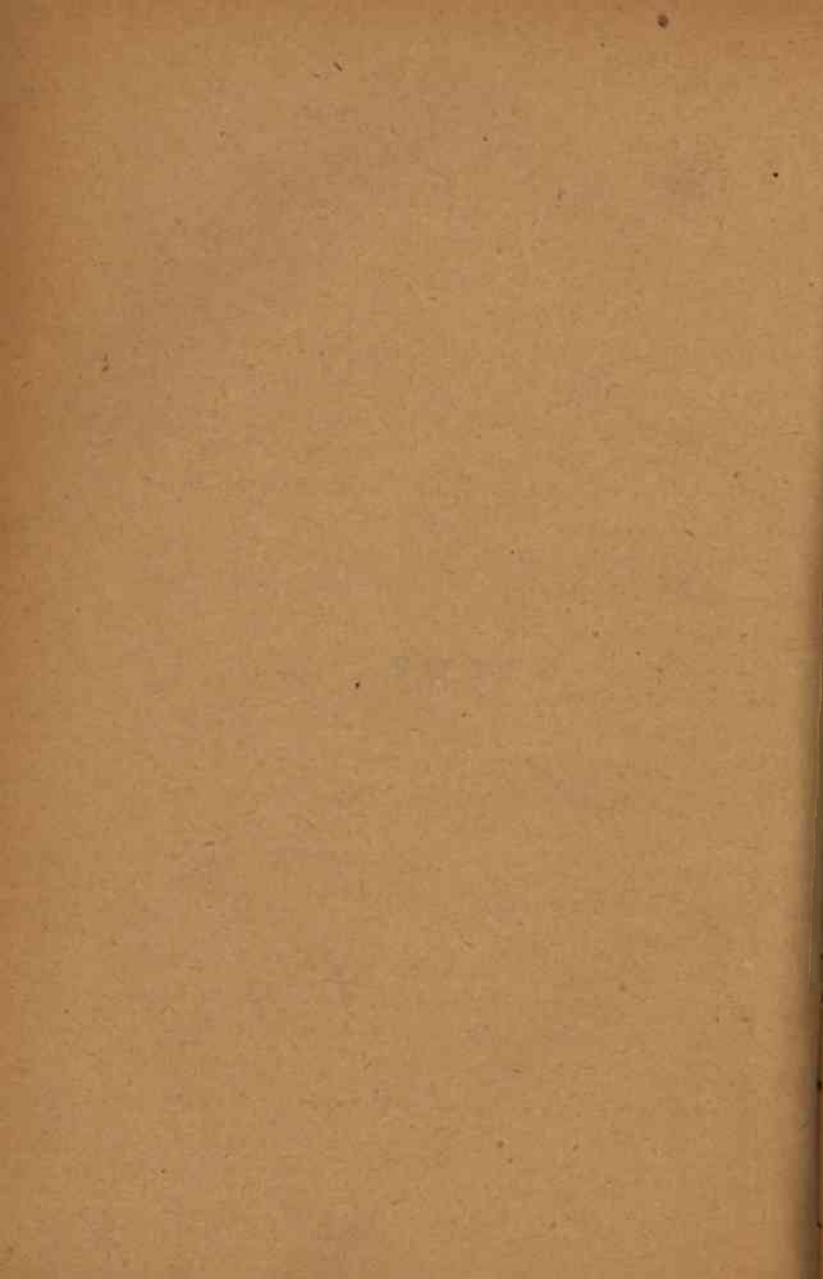
I tak mały, bezduszny, niewinny jak jagnię piesek uratował człowieka.

Nikt tego nie przypuszcza. Nikt nie domyśla się, abym wiedział, co być mogło.

Sza!... Psy nic mówią...



URLOP



Wychyliwszy jednym haustem szklanę bawara przy bufecie, brodaty lanwerzysta wziął swą popielatą walizę i wyszedł z poczekalni stacji berlińskiej w ciemny wieczór grudniowy. Puścił się w labirynt ulic i uliczek, zadowolonym wzrokiem muskając dobrze znane mury i godła.

Zrósł się z tą dzielnicą Berlin a od dziecka, a jednak co miał przed oczyma przejmowało go subtelnem zdziwieniem. Otaczał go bowiem jakiś nowy świat, który wprawdzie snił mu się nieraz w podziemiach i okopach strzeleckich, ale snem mu się już tylko wydawał. Niósł zatem w sobie radosne zadowolenie, że ów Berlin istnieje rzeczywiście—istnieje daleki od huków dział i niedoli żołnierskiego bytowania, obojętny, jakby zgoła nieświadomy, że to wojna. Dobrze, że nie było dokoła nic, co byłoby przypominało mu krwawe przejścia wojenne, dobrze, że było miasto, gdzie zapomnieć można o wojnie.

Przez całe, długie dziesięć miesięcy nie oglądał Berlina. Dopiero teraz otrzymał dobrze zasłużony urlop. Wcześniej aniżeli się spodziewał. Może trochę zawcześniej. Najchętniej byłby spędził święta Bożego Narodzenia z żoną i pięcioletnim swym Franzem, jednakże na

okres świąteczny urlopów odmówiono. Więc zwolniono go niezwłocznie i to na całe dwa tygodnie.

Stało się to tak niespodzianie, że nie doniósł o tem do domu ani słówkiem. Nie szkodzi. Spadnie w ognisko domowe zniecka, jak granat w biwak wywczasów zażywający. Nie znosił pióra w garści, zresztą gdzieś w zakamarkach duszy taił się uśmiech figlarny. Zrobi Bercie niespodziankę. Ciekawość, jak ona radzi sobie w czasie jego nieobecności? Jak go przyjmie?

Na narożniku rojnej arterji wpadły mu w oko rozświetlone szyby knajpy: „*Zum guten Happen*” (Pod dobrym kęsem), gdzie po codziennej pracy magazynierskiej w wielkim zakładzie stolarskim zwykł był krzepić się piwem, palić cygaro i gawędzić.

Oblicze jego zajaśniało, jakby na widok druha i coś pociągnęło go do wnętrza zadymionej traktjerni. Dalibóg nie podobno było nie zajrzeć do tej miłej przystani, nie uścisnąć dłoni poczciwego i otyłego gospodarza, nie zamienić kilku słów powitalnych.

Ale spieszyło mu się do domu. Zegary wskazywały wpół do siódmej i zbliżała się godzina wieczery, której domagał się żołądek. Po dwunastu godzinach jazdy należała się urlopnikowi rzetelna porcja ciepłej strawy.

Niedługo przeto zabawiał się z gospodarzem piwiarni. Nie wdając się w szerokie opowieści o swych przeżyciach, wypił szklanekę piwa, przetrzącił wódką

i wysunął się na ulicę, tem prędzej, że po dłuższem zastanowieniu przyszedł do przekonania, iż wypada mu zejść do golibrody. Obrósł bowiem w tych przeklętych okopach jak dziki Alemanin w lasach Teutoburskich. Musiał przeto odżałować kilka trojaków na fryzjera, gdyż mały Franz gotów nie poznać ojca, a Berta na widok jego wykrzyknęłaby z pewnością: „wyglądasz jak istny niedźwiedź“! Kładła ona nie małą wagę na powierzchowność, zwyczajnie jak szykowna i smaczna niewiasta.

Wyszedłszy od golibrody gładki na gębie, jak szyba a nawet z czupryną pachnidłem zakropioną, Fryc Bauer odczuwał błogie zadowolenie ze spełnionego obowiązku. Kupił piernik dla synka i różnym krokiem podążał dalej, próbując rozwiązać kwestję, co też Berta warzy na wieczerzę.

W czasach wzmagającej się drożyzny nie można było oczekiwać, by zmuszona do liczenia się z groszem kobieta gotowała dla siebie i chłopca jakie frykasy, wszelako zaostrzony wódką apetyt podsuwał mu marzenia i mówił sobie, że jeśli żona przeczuwa powrót męża, to wystawi na stół schab wieprzowy z kluskami i kapustą.

Na myśl tę śmiałą ślina szła mu do ust i jednocześnie miłosne uczucia jego dla żony wzrastały ogromnie. Nigdy Berta nie była mu droższą jak

wśród zapachów zacnej wieprzowiny, nigdy nie uznawał więcej jej zalet i urody.

Wśród miłych rojeń gastronomicznych wszedł na drugie piętro oficyny i zatrzymał się przed drzwiami, na których w świetle latarni, obejmującym klatkę schodową, widniało jego nazwisko.

Wyteżył słuch. Cicho było wszędzie. Zapewne Berta krzątała się w kuchence. Z figlarnym uśmiechem zapukał do drzwi mocno, jak ktoś mający pełne prawo wstępu. Ale nie było odpowiedzi.

Zastukał raz jeszcze i nacisnął klamkę drzwi — zamkniętych.

Wtedy dopiero ozwał się z głębi izby głos albo raczej głosik Franza, jakby nieco zatrwożonego.

— To ja, ojciec! Gdzie matka? — zawołał landwerzysta.

Malec począł coś bełkotać. z czego Fryc dorozumiał się tyle, że matki nie było, a chłopak zamknięty nie miał klucza.

Co począć? Z nosem na kwintę spuszczoneym urlopnik udał się po radę do stróżki. Ale rady nie było, bo nie było klucza. Fryc zatem stanął przed kamienicą, oczekując powrotu żony. Może udała się do jakiego poblizkiego kramiku. Jednakże odniósł wrażenie, że Franz spoczywał już w łóżku, i to wzbudziło w nim kwestję, czy Berta nie pojechała na cały wieczór do krewnych, do Friedenau.

Głupia sprawa. Szkoda jednak, że nie dał znaczone o swym urlopie. Byłby zastał teraz schab wieprzowy w świetle pełnego szczęścia domowego.

Kwaśny, bezradny rozglądał się wśród mroków ulicznych. Na szczęście nadszedł sąsiad, który wybawił go z kłopotu. Posiadał bowiem u siebie pęki różnych kluczów i zaofiarował się wypróbować je w zamku pomieszkania Bauerów.

Tak się stało i z tak dobrym skutkiem, że wreszcie otworzyło się przed Frycem zamknięte ognisko domowe.

Zapaliwszy świeczkę, urlopnik rzucił okiem dookoła, a mały Franz, podniósłszy się w łóżku, spozierał na ojca wielkimi, nieco wylęknionymi oczyma.

Zanim go jeszcze ucałował, głodny i rozczarowany urlopnik rzucił:

— Gdzie matka?

Na co chłopak, nie zdejmując zeń źrenic, wyrzekł powoli, spokojnie:

— Poszła z drugim papą do kina.

Z drugim...?! Szarpnęło coś za pierś żołnierza.

Nagle, odczuwając znużenie, usiadł w krześle bez słowa, opuścił ramiona i oddychał przez nozdrza, sapał jak miech kowalski.

U diabła! Nie dość, że Barta pobierała miesięczną zapomogę, jeszcze on sam przysyłał jej co mógł ze swego żołdu, a mimo to wszystko wzięła sobie drugiego męża, który śnać rozgościł się tutaj

na dobre i wszedł w jego pantofle, jeżeli Franz zaczytywał go za nowego tatusial...

Bezczelność! Ohyda! Bercie wojna życia nie złamała, nie wykoleiła jej. Ona umiała sobie radzić; nie frasując się, padła w ramiona kochanka i — hu-laj dusza. Niech to wszyscy....!

Lecz „rachunek swój zrobiła bez gospodarza”.

No, zgotuje on jej za to śliczną niespodziankę! Kładł trupem ludzi uczciwych, mordował bliźnich, którzy nic złego mu nie uczynili, a miałyby puścić płazem taką sprawkę tej ladacznicy? Łeb jej rozwali pierwszym lepszym narzędziem ostrem. Jej i jemu!...

Któż to mógł być taki? Mignęła mu przed oczyma galerja najbliższych znajomych Berty, węszył między nimi winowajcę, ale nikt z tego szeregu nie budził w nim szczególniejszych podejrzeń.

Uprzytomnił sobie w tej chwili, że stróżka wita-jąc go miała w źrenicach jakiś dziwny, złośliwy uśmiech, który zrazu nie zaintrygował go, ale teraz ukąsił go boleśnie. Niezawodnie wiedziała ona nie-mało o tym gachu.

Wzburzony Fryc począł chodzić po obszernej izbie, zaglądać tu i owdzie, azali nie znajdzie czegoś, co wprowadziłoby go na ślad tego nikczemnego in-truza. Lecz nie odnajdywał nic i to uspokoiło trochę stargane nerwy. Aż wreszcie zauważył na krawędzi komody niedopałek cygara i znów krew buchnęła mu do głowy wrzątkiem, załała mózg falą szału.

Tego łajdaka przywita on tak jak Bertę. Zabije ich oboje. Sąd, w takich razach względny, uwolni obrońcę ojczyzny od wszelkiej odpowiedzialności, uzna go niewinnym. Zresztą niech się dzieje co chce! Musi być kara dla winowajców. I będzie!...

Stanąwszy przed łóżkiem malca, przeczuwającego instynktownie jakąś niepojętą burzę, począł go przesłuchiwać i dowiedział się, że ów drugi papa przychodził tu często, bardzo często. Tego wieczora jednak nie bawił długo. Dał Fränzowi dwa jabłka, wypalił cygaro, czekając, aż matka ubierze się odświętnie, poczem ułożywszy chłopca w łóżku, oboje wyszli na miasto bez kolacji.

Istotnie w kuchni Fryc zauważył, że statki niemal wszystkie były pomyte, a mięsnych zapasów nie było tam wcale. Takie to gospodarstwo prowadziła Berta. W tych czasach drożyzny włóczyła się po jałdodajniach, widocznie bogatego majac gacha.

Wszystko to pieniącą goryczą zalewało serce urlopnika, tem więcej, że chciał przekąsić cośkolwiek. Gniew swoją drogą a głód swoją. Serce znajduje się w pobliżu żołądka. Chwilami głód szedł w zapomnienie, lecz znów odzywał się tam niecierpliwiej, podniecał jeszcze więcej wściekłość, wytwarzał bezlitosną zaciętość i brutalną żądzę pomsty, krwi.

Żeby ich miał przed sobą, tę parę, bez długiej gadaniny głowy by im porozbijał na miazgę i... koniec.

Ale oni byli w kinematografie. Nie wiadomo w jakim. Berta nie miała żadnego uprzywilejowanego teatrzyku, protegowała wszystkie. Pytanie, czy nie pojechali w śródmieście, jeśli takie pańskie mieli zwyczajem, iż kolacje jadali po za domem. Gdzie ich szukać? Przepadli.

Jak zwierz w klatce błąkał się po izbie, spowity w czarną chmurę. Drażnił go nawet widok malca, gdyż odczuwał do niego pełną urazę za to, iż dał sobie narzucić „drugiego papę“ i pogodził się z nowym stanem rzeczy. Rzuciwszy mu wreszcie piernik na łóżko, wyszedł, zamknął drzwi na klucz i udał się do stróżki na wywiad.

Ale z pewnem wahaniem. Niby to pragnął namiętnie posłyszeć kto przyprawił mu rogi, co działo się w czasie jego nieobecności z Bertą, a jednocześnie przestrzegało go coś przed ciekawością i powstrzymywało. Jakoż na dnie duszy nie gniewał się wcale, gdy okazało się, że stróżka wyszła na miasto.

Automatycznie skierował kroki w stronę swej knajpy i, w miarę jak oddalał się do domu, zanurzał w gwar uliczny, oblicze jego wypogadzało się nieznacznie. Jak w kielichu, z którego wyszumiało wino, zapanował w nim po wielkiej nawałnicy pokój i pustka i nie miał żadnej myśli pod czaszką.

Z tego odrętwienia wyrwała go sylwetka znajomej osoby; ujrzał po drugiej stronie ulicy idącą żonę koleżki z pod „Dobrego kęsa“ a towarzysza

broni, który w tym samym co Bauer służąc bataljonie, prosił go przed wyjazdem na urlop, by wstąpił do jego małżonki, pozdrowił ją i odpowiedział jej coś niecoś o doli i niedoli męzowskiej.

Nie znając pani Klary prawie wcale, Fryc, choć niechętnie podjął się tego, jednakże teraz zbliżył się do niej, chcąc skorzystać ze sposobności i uiścić się z przyrzeczenia.

Wywiązała się odrazu żywa rozmowa i byłyby przeciągnęła długo, gdyby żołnierz nie był ozwał się:

— Spiesz mi się; głodny jestem siarczyście.

— A czy pan nic nie jadł u siebie?

— Nic, bo... nie zastałem żony. Pojechała do Friedenau, do krewnych, nic nie wiedząc o mem przybyciu.

— Więc niech pan idzie na kolację do mnie!— rzekła pani Klara uprzejmie — Musi mi pan jeszcze opowiedzieć o Robercie niejedno. Mieszkam stąd parę kroków, a niosę właśnie trochę zapasów, kiełbasę, ser i piwo. I mam jeszcze z obiadu porcję wieprzowiny, którą panu odgrzeje szybko.

Wprawdzie knajpa pociągała go daleko więcej, wszelako perespektywa bezpłatnej wieprzowiny, poparta uprzejmością pani Klary podziałała przekonująco. Przecież do piwiarni mógł zejść jeszcze potem. Nie dał się przeto prosić więcej i niebawem przekroczył próg mieszkania Trauthoferów.

Odrazu oskrzydlił go nastrój iście zacisznej szczęśliwości. Lubo bezdzielni, Trauthoferowie zajmowali dwa przytulne pokoje, nadspodziewanie ładne, z których wyzierał ład, porządek i dostatek. Na wszystkim znać było rękę troskliwej gospodyni; każdy sprzęt spoczywał na swem przepisaniem miejscu, jak w doskonale zorganizowanym państwie. Po tylu miesiącach kreciego bytowania w norach, na wzór praszczurów owych jaskiniowców, żołnierz widział w ciepłym tym zakątku rajska przystań, wymarzoną dla urlopnika.

Siedząc nad szklanką piwa, w głębokim fotelu rozglądał się dokoła z odcieniem zazdrości, gdy oviał go zapach ulubionej potrawy.

Rzucił się na nią z zapałem i pałaszował walecznie. Pani Klara również zabrała się do wieczerzy pośpiesznie, co nie przeszkadzało jej dolewać piwa landwerzyscie.

Zauważywszy to, Fryc rozjaśniony podniósł na gościnną kobietę wdzięczne spojrzenie i zauważył przytem, że szczęśliwy pan tego mieszkania miał w niej godną żonę, wcale niczego niewiastę. Nie ubierała się tak z wielkomięjska jak Berta, zbliżała się wszakże do typu „*einer biederer Hausfrau*“, co odpowiadało smakowi Fryca w tej chwili daleko więcej od krzyczącej elegancji. Nadto była od Berty tęższa i, zdało się, łagodniejsza, dobroduszniejsza

Rozsiewała wokoła siebie atmosferę ciepłego pokoju domowego.

Gdy Fryc oplatał ją tak spojrzeniem, uśmiechnęła się do niego ładnymi, chabrowymi oczyma.

— Pośpieszyliśmy się z jadłem—rzekła—i dobrze, bo wybieram się do poblizkiego kina. Śliczny dziś program: „Miłość wieloryba czyli 10 tysięcy stóp pod wodą“. a na zakończenie „Italjańska noc“. Ma pan wieczór wolny, więc pójdziemy razem, a potem możemy ukończyć kolację, spróbować tych wędlin. Dobrze?

Urlopnik, czując się jakby u siebie, nie miał ochoty opuszczać przytulnego gniazdka, zwłaszcza, że zdawało mu się, iż żywi do kinematografów osobliwą i zasadniczą odrazę. Wszystkie te teatryki, sądził, powinny być raz na zawsze przez policję zamknięte przez wzgląd na dobro publiczne. Ale pani Klara już przywdziewała paradny płaszcz brązowy. Bardzo było jej w nim do twarzy. Ani słowa.

Skończywszy szybko piwo, Fryc podniósł się, cedząc flegmatycznie:

— Co prawda, nie ruszałbym się stąd. Dalibóg, miła kwatery i przy takiej markietance...

— Cha! Cha! — zaśmiała się w głos kobieta, ukazując białe zęby, i nagle umilkła.

Po chwili milczenia zerknęła w jego źrenice bystro i zalotnie, roześmiała się i zauważyła z podziwem:

— Jak to pan wygolił się pięknie!...

Bauer odpowiedział na to głupkowatym uśmiechem.

Miał mgliste uczucie, że stanął między nim-jakiś pakt.

Wyszli, nic do siebie nie mówiąc.

Postępując obok niej, Fryc, lubo syt, kwaśną przybrał minę, bo kołatał się w nim jakiś niepokój bez nazwy. Czaił się w nim lęk przed spotkaniem Berty i „drugiego papy“. Niech ją wszyscy djabli!...

Wkrótce podległ urokowi, jaki wywierało nań towarzystwo ponętnej niewiasty. Jak to dawno już nie miał przy boku swym białogłowy! Wojna, huk armat, błotniste rowy strzeleckie, chłód, głód, niewygody i — Berta, wszystko to poszło w zapomnienie w potoku gawędy wesołym tonem prowadzonej. Był jak zamożny burżuj w niedzielę idący na zabawę.

A ona mówiła z uśmiechem:

— Byłoby głupstwem, gdybyś pan nie wykorzystał urlopu jak należy... Nie używał życia...

Z pewnością. Nie mogło być dwu zdań. Raz człek żyje na świecie, a od czego urlop?

Fryc znów uśmiechnął się głupkowato do niej i do siebie.

Weszli do kinematografu.

F E R A L N Y D Z I E Ń

W ciągu dnia pan Henri Jouet, właściciel sklepu korzennego w dzielnicy paryskiej, do dwora St. Lazare przylegającej, nie pijał ani aperitif'u ani wina, lecz z wieczora, po zamknięciu handlu, zasiadał w naróżnej kawiarni pod Złotym Lwem do szklaneczki wermutu lub byrru w towarzystwie zegarmistrza pana Fergussona.

Łącznikiem między tymi dwoma czterdziestokilkoletnimi sąsiadami było zamiłowanie do rybołówstwa, któremu oddawali się namiętnie, letnią porą co niedzielę wyjeżdżając z wędkami nad odrzewione brzegi Marny. Na tym tle powstała przyjaźń, przeobrażająca się niekiedy w niechęć a nawet przejściową nienawiść skutkiem zazdrości, jaka paliła mniej szczęśliwego rybaka na widok pokaźnej ryby u haczyka wędkę przyjaciela.

Istniało między nimi ukryte współzawodnictwo. Jeśli interesy Jouet'a szły lepiej niż pana Fergussona, mógł on to przeboleć dość łatwo, jeżeli czasem poróżnili się w zapatrywaniu na jaką kwestję społeczną, i to nie wytwarzało głębszego rozdzwieku, lecz upo-

lowanego pięknego szczupaka zegarmistrz nie mógł darować sąsiadowi, dopóki sam nie poszczycił się podobną zdobyczą. Być może, iż Jouet, niewysoki, okrągły mężczyzna, którego tłuste oblicze mówiło zarówno o bezkrwistości jak o równowadze czynników psychologicznych, mniej dawał posłuchu miłości własnej i, wracając do Paryża z mniejszym połowem, nie życzył przyjacielowi złamania karku, wszelako i on śnił sny o zaćmieniu rywała okazem przewspaniałej ryby.

Spotykali się wyłącznie w kawiarni i na porzeżu rzecznym, a w domu odwiedzali się rzadko, zwłaszcza, że żony ich nie miały z sobą nic wspólnego. Pani Fergusson, córkę swą oddawszy na wychowanie do klasztoru w Belgji, sprzedawała zegarki od rana do nocy i była właściwą firmy głową. Mąż zaś udawał tylko pryncypała wobec kupców, których wypadało zaprowadzić na bock piwa, lecz gdy chodziło o interes odnosił się posłusznie do swej najwyższej instancji. Natomiast pani Julietta Jouet, jeszcze przystojna, elegancka paryżanka o bujnych nieutlenionych blond włosach, uważała sobie widocznie za ujmę przesiadywania w sklepie męzowskim. Kiedyś podobno, w pierwszych czasach pożycia małżeńskiego próbowała zastąpić kasjerkę w sklepie, bo zbieranie pieniędzy wydawało się jej miłym zajęciem, ale nie trwało to długo. Znikła z magazynu i bodaj ze sfery

wszelkich interesów pana Henryka, który o żonie nie wspominał nigdy.

Może dzięki temu, że żony i kobiety nie wchodziły w grę, zażyłość czy przyjaźń sąsiadów przetrwała lata. Zimą grywali często w kawiarni partję manile lub szachów a przed obiadem schodzili się tam z punktualności rutynistów, by dać upust wrażeniom z przeżyć całodziennych.

— Zdaje się, że wstałem dziś z łóżka lewą nogą — mówił pewnego wieczora p. Jouet z twarzą zamysłoną — Jak się los uweźmie, wszystko idzie na wspak... Wypadło mi dzisiaj około dziesiątej pojechać koleją podziemną do pewnego hurtowego domu towarów kolonialnych w okolicę placu Republiki, gdzie sprzedawano partję kawy po niżonych cenach. Przy kontroli biletów w wagonie, bilet gdzieś mi się zapodział. Napróżno szukałem go po kieszeniach i kieszonkach i tak musiałem po raz wtóry zapłacić sześć sous. Niepotrzebnie, bo później odnalazłem go; uwiązał on w podszewce kamizelki tak, że w właściwym momencie nie wyczułem go kończyną palca. Kosztowało mnie to sześć sous — powtórzył kupiec i ciągnął: Było to niejako znakiem, że dziś mi nic nie pójdzie po myśli, przeciwnie... Przeszedłszy do owej hurtowni dowiedziałem się, że szef p. Mangrin wyszedł przed chwilą na miasto, a on jeden tylko sprzedaje dawnym klientom kawę z tego lotu po wyjątkowych cenach. Miał powrócić za pół godziny. Czekałem

tedy pół godziny i jeszcze kwadrans. Nareszcie zjawiał się Mangrin, lecz kawy nie dostałem, gdyż sprzedał resztę lotu pięć minut przed wyjściem na miasto. Zmarnowałem czas na darmo. Gorzej... Skoro wróciłem, okazało się; że był w tym czasie u mnie pewien epicier, a klient mój z prowincji, odbierający odemnie różne artykuły w mniejszych ilościach, i chciał wziąć kawy. Czekał na mnie godzinę, poszedł i nie wrócił, chcąc wyjechać z powrotem południowym pociągiem. Odprzedając mu część tej partji kawy, jaką mogłem być nabyć od Mangrin'a gdybym był przybył do niego o kwadrans wcześniej, byłbym zarobił blisko tysiąc franków. Tak dwa interesy przeszły mi przed nosem. Nadmiar utrapień potrzeba było jeszcze, że kasjerka dostała bólu zębów i musiała pójść do dentysty. W kwaśnym humorze, ale głodny jak wilk poszedłem na śniadanie do domu. Żony nie zastałem, kazała mi powiedzieć, że musiała pójść do ciotki, która zasłabła. A kucharka nie miała dla mnie wcale przygotowanego śniadania. Tłómaczyła się, że pani potrzebowała jej usług cały ranek, a potem nie spostrzegła się, że nadchodzi godzina południowa. Byłbym ją najchętniej poczęstował kułakiem, ale służącą trzeba dziś traktować wiele lepiej niż klientkę. Usmarzyła mi coś na prędce i omlet jej się przypalił..

— *Et avec ça?!* — szepnęła p. Fergusson, wrażliwy na takie nieszczęścia, jak przypalony omlet.

Avec ça! Istotnie, nie tu kres mych utrapień. Kasjerka nie wróciła od dentysty. Napisała mi, że ma fluksję i musi pozostać w domu. A personelu nie mam za wiele. Ten szereg przeciwności usposobił mnie posępnie i poczęłem przewidywać, co mi jeszcze zgotuje złośliwy los. W tym nastroju udałem się do piwnic, gdzie magazynuję znaczną ilość towarów, i okazało się, iż... okradano mnie systematycznie przez okno zgrabnie wysadzone i na dzień równie zgrabnie zahaczane. Ile wynoszą me straty, nie obliczyłem jeszcze; przypuszczalnie wynoszą dwa do czterech tysięcy.

Tu p. Jouet westchnął i zdało się, że skończył litanję. Jednakże po chwili dodał:

— Zauważyłeś, że u wejścia, przed drzwiami handlu mam z jednej i drugiej strony słoje ze słodyczami i łakociami ustawione na pustych pudełkach od biszkoptów. Otóż pod wieczór pies jakiś, przechodząc, zanieczyścił te pudełka i, gdy kazałem je zamienić na inne, przekonałem się, iż ten osieł Paul, posługacz sklepowy, umieścił tam poprzednio zamiast pustych pełne pudełka. Ukrzywdził mnie na kilkadziesiąt franków, ten bałwan!

— Nie on, lecz pies! — bąknął ze śmiechem zegarmistrz.

Ale oblicze p. Henryka nie rozjaśniło się.

— Już tylko to mnie dziwi, że nie przejechał mi dziś nóg jaki samochód lub dachówka nie spadła na głowę. Feralny dzień.

Umilkł. I p. Fergusson popadł nagle w zadumę. Przez chwilę drapał się za uchem, wreszcie ozwał się półgłosem:

— Doprawdy, ściga cię dzisiaj fatalność...

Przyjaciel podniósł nań pytające spojrzenie.

— Czyż... stało się jeszcze coś przykrego, o czym nie wiem dotąd?

— W istocie...

— Cóż takiego? Mów, Fergusson! Nie oszczędzaj mnie!

— *Et bien*.. Stała się takã głupia rzecz... Przed godzinã odebrałem przez pneumatykę list.. List od twojej żony.

Henryk patrzył weń osłupiałemi oczyma, a on wydobył z pugilaresu liścik i wręczył go przyjacielowi, który wbrew oczekiwaniu rozwinął go leniwie i czytał bez najmniejszego na twarzy wyrazu.

A pismo to brzmiało:

„Kochany panie Fergusson! Proszę powiedzieć Henrykowi, że wyjeżdżam. Za godzinę będę w drodze do Szwajcarji. Wyjeżdżam i nie wrócę więcej. Nigdy!

Pozdrowienia!

Juljetta.

P. Fergusson nie zdejmował wzroku z martwej maski epicier'a, oczekując, że odmaluje się na niej gama uczuć: ból, wściekłość, rozpacz. Tymczasem na bladawe oblicze pana Henryka wystąpił nieznaczny rumieniec i nagle zakwitł na niem złocisty uśmiech.

Podnosząc wesoło oczy p. Henryk wycedził:

— To mi nagrodziło! Więc to jednak nie był dzisiaj feralny dzień!...

Roześmiał się w głos.

— Słuchaj! nie chciałbym dzisiaj zjeść obiadu sam na sam. Może pójdziesz ze mną do Pousin'a na ostrygi i kieliszek Chablis, co?

Pojechali. P. Henryk, w wyśmienitym humorze, o żonie nie wspominał ani słowem. Miał ochotę wybrać się na pohulanekę, jednakże p. Fergusson z obawy przed żoną nie chciał spędzić z nim reszty wieczoru. Więc p. Jouet, trochę przejezdzony, powędrował pieszo do opuszczonego domu, snując plany, jak ułożyć sobie życie bez żony.

Uciekła. Oczywiście, domyślał się trochę z kim. Zresztą cóż go to obchodziło? Materjalnie on wychodził na tem korzystnie, a nie ona. A zastępczynię Julietty posiadał już od dłuższego czasu w osobie rozwiedzionej pani Djonizy, z którą na przyszłość może mu być jeszcze wygodniej. Byle się z nią nie żenić. A zatem sprawa skończona. Pozbył się baby! Uf!...

Świstając pod nosem piosenkę na nutę modnego fox-trot'a, p. Henryk wkroczył w mury swego martwego ogniska domowego z miną zadzierzystą i, rozsiadłszy się w biegunowem krześle, zapalił cygaro, nucąc jeszcze w duszy wesołą arję.

Powoli ukołysały się w nim fale wesołości i powracał do normalnego nastroju.

Zegar na kominku wybił jedenastą.

Raptem poczęło mu czegoś niedostawać w pokoju. Spozierał tu i owdzie, jakby szukając jakiegoś przedmiotu na podłodze. Przeszedł do innych pokoi, do sypialni, do kuchni i sionki i wrócił do swego gabinetu chmurny.

Ta niegodziwa, podła Julieta!... Zabrała z sobą czarnego pinczerka Mouffi, to miłe, zgrabne stworzonko, które tak lubił pieścić co wieczór i układać do snu. Koszyczek pieska, wysłany gałgankami, pozostał. Jak on spędził tą noc, biedny Mouffi? Na jakim twardym fotelu. A on tak przyzwyczajony do swego legowiska! Brak będzie, wielki brak w tym domu małego Mouffi. Uwożąc go, podła ta kobieta zadała mężowi, jeśli nie cios, to guz bolesny.

Teraz dopiero podniósł się w nim gniew na niewierną żonę. Byłby ją w tej chwili spoliczkował za te lata zdrady, niemniej jak za „rabunek“ pinczarka. Wreszcie poszedł na spoczynek, w przekonaniu, że przeżył jednak dzień do samego końca feralny.

KANDYDAT NA SAMOBÓJCĘ

W miesiącu maju zamykano bramy Parku Wiktorskiej, we wschodniej dzielnicy Londynu położonego, o godzinie ósmej z wieczora, poczem policeman obchodził cały, rozległy ogród i zaglądał w każdy zakątek, by się przekonać, czy kto głuchy na dzwonek odźwiernego nie zasnął na ławie, nie zaflirtował się lub nie zaszył w zarośla na noc w braku lepszego przytuliska.

Idąc pewnego wieczoru aleją w stronę rozlewanej sadzawki, stróż porządku publicznego ujrzał zdaleka mężczyznę, ciemno odzianego, brodzącego po kolana w wodzie. Tyłem doń odwrócony nie spostrzegł on i nie posłyszał policemana, który zdziwiony tem, co widział, przystanął na moment a potem przyspieszył kroku i, zbliżając się do brzegu sadzawki, zawołał:

— Hallo! Co tam pan robi?

Mężczyzna zatrzymał się w miejscu, odwrócił się do gigantycznego policjanta i przestraszony odmalował się na młodej, bladej jego twarzy.

— Co pan tam robi, u diabła?! — powtórzył żołnierskim tonem policjant i teraz dopiero młodzieniec wykrztusił:

— Ja... chcę się utopić...

— Tu za miałko. Na środku sadzawki woda nie sięgałaby panu wyżej jak pod pępek.

— Spróbuję...

— Nie wolno próbować się utopić... Utopić także się nie wolno, chociaż... w tym razie uniknąłby pan kary!

Młodzieniec stojąc po brzech w wodzie, patrzył się w twarz policmana bez słowa. Wreszcie zagadnął półtonem:

— Dlaczego próba utopienia się jest karygodna?

Dostojny urzędnik był w kłopotcie, co odpowiedzieć.

— Bo.. bo brak powodzenia w przedsięwzięciu jest karygodnym. Niech, pan wyłazi z wody! Jeszcze się pan nabawi kataru.

Młodzieniec nie poruszał się z miejsca. Opuścił go strach przed śmiercią, ale sparaliżował strach przed milicjantem. Aby go uruchomić, trzeba było dopiero fuknąć:

— The deuce! Niech pan wyłazi z sadzawki!... Czy mam pana za kołnierz z niej wyciągnąć i buty sobie zamoczyć?

Młody kandydat na samobójcę nie chciał narażać policjanta na zamoczenie obuwia. Przebrnął przez błotnisty grunt na stały ląd, gdzie oczekiwał go policjant, zapisujący coś pilnie w notesie.

— Nie tak to łatwo odebrać sobie życie, jak pan myślał... — mruknął i zatroszczył się o ociekającą strumieniem wody ineksprimable bladego młodzieńca. Zalecił mu, by wycisnął z nich wodę, o ile się da, i pocieszał go, że jeśli każe je odprasować, będzie mógł jeszcze je nosić.

Ruszyli razem do cyrkułu, gdzie kandydat na samobójcę znalazł przymusowy nocleg a nazajutrz tanie śniadanie.

Około jedenastej przybył jak zwykle sędzia magistracki, któremu przedstawiono w cyrkułe zagarniętych w nocy z bruku ulicy pijaków i pijaczki, złodziei, nożowników i tym podobnych członków społeczeństwa. Funkcje jego polegały na wymierzeniu im kary i dysponowaniu dalszymi ich losami.

Mister Braxton znał na pamięć oddawna tę galerję okazów ludzkich, jakie codziennie mu pokazywano, wiedział z góry co powie mu o nich policjant i to, co on sam zawyrokuje. Zanim jeszcze przeto wprowadzono do salki pierwszego obszarpańca, był wszystkim ogromnie znudzony. A że zasiadział się ostatniej nocy długo w klubie przy butelce burgundzkiego wina, więc ziewał ze zgryźliwym wyrazem twarzy. Zesunął baranią perukę, spadającą mu

na ramiona z czoła i ocierał je chustką, słuchając słów policemana, sterczącego przed katedrą z hełmem filcowym w rękę.

Ale opowieść policemana o jasnowłosym młodzieńcu, siedzącym cichuteńko w boksie oskarżonych, zaciekała go. Chodziło o coś nie tuzinkowego. Stróż porządku publicznego opowiadał sucho, bez uwag i bez uśmiechu, jak to poprzedniego wieczora o godzinie 8 minut 37 ujrzał w zamkniętym Parku Wiktorji młokosa, przyzwoicie ubranego, brodzącego odważnie w płytkich wodach sadzawki. Rył on kolanami wodę, pchał się głębiej i głębiej, wlaź po pas w męty i zdało się, że chce się utopić. Przyznał się do tego.

— Powiedziałem mu... że dopóki żyje, musi żyć. Tak żąda prawo, powiedziałem. I powiedziałem, że jeśli pragnie wycofać się z pod władzy kodeksu policyjnego, to winien poszukać sobie głębszych wód na ten cel, powiedziałem. I odprowadziłem go do aresztu.

— Słusznie... — mruknął do siebie „magistrate“, w żrenicach jego błysnął uśmiech i ogarnął spojrzeniem pokorną postać młodzieńca, stojącego z głową na pierś zwróconą.

— Co pana skłoniło do tego rozpaczliwego kroku? — spytał go sędzia.

Młodzieniec uchwycił rękoma poręcz małego pulpitu, utkwiał oczy w brudną podłogę i milczał.

— Nie wiem...—wyszeptał ostatecznie.

— Zwykle ludzie znają motywy swych postępów i zamierzeń, jeśli nie przed czynem, to po fakcie. Niech pan się namyśli! Co pana do tego pchnęło?

Kandydat na samobójcę zająknął się i nie podnosząc wzroku począł:

— Chodziłem na przechadzki z dwiema pannami, siostrami.. Najpierw z obydwoma razem, potem raz z jedną, raz z drugą, bo nie chciały chodzić wspólnie, lecz osobno — ze mną. Ja nic przeciw temu nie miałem, przeciwnie... Bo, gdy szliśmy w troje, kłóciły się zwykle między sobą, a każda z osobna była bardzo przyjemną. Nie wiadomo, która była przyjemniejszą; Ellen usiłowała być sympatyczniejszą od Fanny, a Fanny sympatyczniejszą od Ellen. Gdy Ellen pozwoliła się mi raz pocałować, Fanny, której o tem wspomniałem, dała mi dwa całusy, a gdy zdradziłem to Ellen, ona sama pocałowała mnie dwa razy. Lubiłem je obie bardzo. Nie wiem, którą więcej. Są one niezmiernie do siebie podobne, jak bliźnięta, i ubierają się jednakowo.

Gdy pryncypał podwyższył mi pensję książkowego na trzy funty tygodniowo. Ellen zauważyła, że mógłbym się z nią ożenić. Byłem tego samego zdania. Przynależem, że ją poślubię... Ale następnego dnia spotkałem się z jej siostrą i ona także zaproponowała mi małżeństwo. Nie śmiałem się jej wyznać, że

zaręczyłem się z Ellen. Była tak przyjemna!... Wiele przyjemniejszą od siostry... Nie podobno było odrzec: nie. Zaręczyłem się z nią także...

Myślałem, że jedna lub druga odstąpi od zamiaru matrymonjalnego i ożenię się z tą, która pozostanie mi wierną. Ale obie trzymały się mnie wierne, piłowały mnie o oznaczenie dnia ślubu. Przeszedłem zatem do przekonania, że muszę wybrać jedną z nich, lecz niestety niewiedziałem którą... Pewnego dnia powiedziałem sobie stanowczo: „kocham Fanny” i udałem się do jej siostry, by jej powiedzieć, że nie mogą jej poślubić. Wszelako, gdy Ellen ujrzała mnie, zawołała radośnie: A jakiś ty kochany, że przyszedłeś!... You are a darling! Zamknęła mi usta; poszliśmy do kinematografu i powziąłem przekonanie, że kocham obie...

— Fatalne zdarzenie... — szepnął zasłuchany pilnie sędzia i przysłonił dłonią pociesznie wykrzywione usta. — Więc chciał pan odebrać sobie życie z tej przyczyny, że nie wie pan, którą z dwóch narzeczonych przenosi pan nad drugą?...

— Tak jest! — odparł raźnie młody clerk, rad, że zrozumiano go tak doskonale.

— A nie chciał pan popełnić bigamji?

— Nie chciałem.

— Dlaczego?

— Bo... bo one razem znówby się pokłóciły.

— A nie przyszło panu na myśl, że mógłby pan nie ożenić się z żadną z nich?

— Nie to nie przyszło mi na myśl.

— Pan ma silne matrymojalne zapędy, jak zwykle w niedojrzałym, bezwąsnym wieku... i nie nawiedziła pana myśl, że mógłby pan znaleźć równie przyjemną, jak one pannę, nie mającą siostry?

— Nie. Kocham je obie. Niewiem, którą więcej, albo raczej którą mniej. W tem sęk.

— Dostateczny powód, by popełnić samobójstwo... ze strachu przed pozostawioną na koszu — zauważył sędzia poważnie i umilkł.

Nastała pauza. Policjant i pachołek aresztancki oczekiwali sędziowskiej decyzji, ciekawi, czy sędzia odda niedoszłego samobójcę pod sąd, czy też sam wymierzy mu karę.

Niedługo czekali na wyrok. Sędzia odchrząknął i rzekł po namyśle:

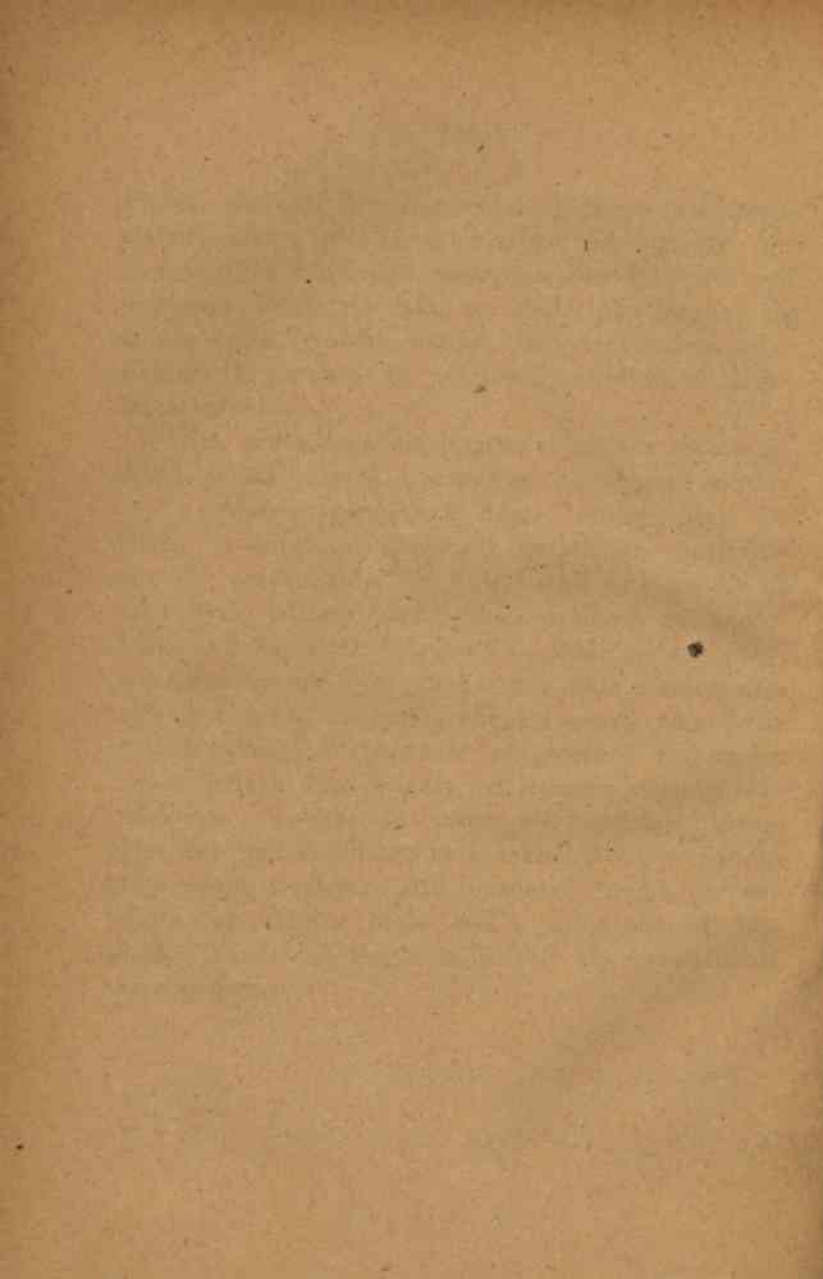
— Zakochał się pan aż w dwóch kobietach... Niestety takie przytrafia się także starszym, nawet najmędrszym mężczyznom.. Nie jest to sądownie karanem. Karę odbierają oni za to ze strony tych ukochanych kobiet... Że pan nie potrafił wywikłać się z sieci erotycznej, tłumaczy się tem, iż mężczyzna, nawet dojrzały, jest niedojrzałym w rękach niewiasty... Od jednej nie umie się uwolnić, a cóż dopiero od dwóch? Mężczyzna najodważniejszy, bohater boi się jednej kobiety więcej niż ognia kartaczowego a cóż

dopiero dwóch!?! Strach przed białogłową jest zrozumiałym; niema nic straszniejszego od kobiety zawiedzionej w nadziejach matrymonjalnych... Jest pan niewinny. Pozostaje fakt, że chciał pan targnąć się na swe życie i to dla miłości, lecz za młodym człowiekiem przemawia tu wymownie okoliczność łagodząca: głupota...

Nie podnosząc się jeszcze z miejsca sędzia po chwili mówił jeszcze z poważną, nieruchomą maską:

-- Może pan pójść do domu... wolny. Mam nadzieję, że to się nie powtórzy, że wkrótce przyjdzie pan do przekonania, że nawet dwie kobiety nie są warte życia jednego mężczyzny... Uniknął pan szczęśliwie dwu katastrof: utopienia i... małżeństwa. Przypuszczam bowiem, że porzuci pan obie siostry, uratuje się chlubną ucieczką, chociaż grozić panu będą aż dwie skargi o złamanie przyrzeczeń ślubnych... Lepsze jednak dwa procesy od jednego związku małżeńskiego.. Lepsze to także niż bigamja... Życzę panu, aby pan najbliższą razą zakochał się w pannie, która niema siostry... Ale pamiętać trzeba, że niewiasta bez siostry może być o jedną niewiastę zawiele. I jedna białogłowa potrafi doprowadzić do samobójstwa...

D J A M E N C I K



Przy wielkiej arterji Londynu krył się w nieprzerwanej galerji okien wystawowych maleńki sklep brylantów „orientalnych“ czyli fałszywych—klitka pełna rozblasku, zwierciadeł, szyb, kryształów, szklistych kamieni i złota. W szafach i w gablocie, za ladę służącej, słały się na ponsowych pluszach pierścienie, naszyjniki i szpile i lśniły się jak roje gwiazdek.

Wśród tego zespołu błyskotek królowała wątła, filigranowa panienska, rozmiarami swemi i wyglądem doskonale dostosowana do otoczenia. We wzorzystej bluzce jedwabnej, uczesana arcystarannie, że świadcidełkami w jasnej fryzurze, szczupła panna Fanny, lubo bez rysów i bez wdzięku, zdawała się bibelotem albo barwnym ptaszkiem w bajkowej komnacie kryształowego pałacu dla liliputów czy krasnoludków.

Istotnie królowała tu, całe bowiem to przedsiębiorstwo spoczywało na jej praktycznej główce. Właściciel, nazwiskiem nie Cohn lecz dla odmiany Cohen nie troszczył się wiele o swe fałszywe bry-

lanty. Jak każdy żyd, obdarzony żywą wyobraźnią po całej sferze handlu hulającą, nie zaszywał się bynajmniej w obrębie jednego przedsiębiorstwa; gonił za zyskiem po różnych polach. Bywało, że przez dwa dni nie ukazywał się na oczy pannie Fanny wcale a dłużej nad pół godziny wizyty jego nie trwały.

Pewnego dnia zjawił się około jedenastej, nato bodaj tylko, by przeczytać gazetę w spokoju. Rozsiadł się w końcu gablotki i, napoły przysłonięty oszkloną szafką z brylantami na niej ustawioną pograżył się w studjach spraw giełdowych. A Miss Fanny sprzedała komuś pierścionek z fałszywym brylantem poczem, jak zwykle w godzinach, gdy kupujący nie przerywali jej samotności prawie wcale, zabawiała się rysowaniem pociesznych dziwolągów i karykatur, całkiem prymitywnych i dziecinnych ale nawskroś oryginalnych i groteskowych.

Na ulicy zaś tętniło i huczało życie wszechświatowej olbrzymiej arterji.

Pan Cohen przerwał lekturę i bąknął:

— Miss Fanny, pewien pan z dalekich stron dopytywał się bardzo o panią. Wie pani kto?

— Nie — odparła Fanny, nie podnosząc głowy z nad rysunków.

— Ktoś z bardzo dalekich stron. Z Afryki. Nie domyśla się pani kto?... Mister Hollys.

— Oh...

— Bardzo serdecznie pytał się o panią.

— Oh...

— Snać coś mu pani zadała, że nie zapomniał o niej przez dwa lata pobytu w Transwalu.

— Oh...

— Pytanie czy niema zamiarów matrymonialnych...

— Oh...—ozwała się jeszcze półtonem panienska.

— Niech pani nie mówi: „oh”, lecz odpowie mu „yes” i wyjdzie za niego za męż. Wart on kilkadziesiąt tysięcy funtów.

— Oh...

Cohen zerknął na nią z podełba, jakby pytając o wyjaśnienie emigmatycznego dźwięku, lecz nie śmiał jej o to zagadnąć.

Znów milczenie zapanowało w klitce a nad niem hałaśliwy Londyn.

Nagle ogromny cień przykrył oszklone drzwi i w progu stanął potężny, barczysty drab o twarzy ordynarnej, tłustej, jakby ogorzeliżną chłopską powleczonej. Biło z niej wielkie zadowolenia z siebie a na widok małej panny szeroki uśmiech rozdał pucałowate lica:

Mister Hollys powitał ją szarmancko, wyrażając swą radość, że po dwu latach spotyka ją tak jak ją był zegnał — wśród fałszywych brylantów pana Cohena. A ona z chłodną minką przyglądała się jego niedźwiedzim, owłosionym łapom, spoczywającym na szybie gablotki a opierścienionym bogato i lśniącym

od prawdziwych brylantów z Rhodesji, gdzie p. Hollys dorobił się majątku.

W czasie banalnej rozmowy ich p. Cohen podniósł się z krzeselka i, nie chcąc przeszkadzać konkurentowi w umizgach, sięgnął po kapelusz.

— Muszę wyjść w pewnej sprawie. — rzekł — Wrócę za pół godziny.

— Wstąp po mnie!—odparł wielkolud głębokim barytonem i dorzucił z głośnym śmiechem: Za pół godziny zakomunikuję ci ważną wiadomość i zafunduję ci doskonały lunch... Możesz być pewnym, że potraję być wdzięcznym.

P. Cohen, uśmiechnąwszy się łaskawie i ze zrozumieniem, wyszedł, a p. Hollys we weselnym nastroju wyrzucił do małej Fanny, próbując zrazu złowić olbrzymim ramieniem drobną, uciekającą jej rączkę.

— Wie pani jaką to wiadomość zakomunikuję panu Cohenowi wkrótce?... Niech pani zgadnie. Nie trudna zagadka.

— Jestem bardzo niedomyślną.

— E... To łatwo odgadnąć. Zwłaszcza dla kobiety. Bo kobiety mają swój sprycik w takich rzeczach, ho! ho! Długie włosy, krótki rozum, powiadają o białogłowach, ale ten krótki rozum starczy im, zupełnie starczy, ha! ha! Potrają dać sobie radę z długim rozumem mężczyzn. Takie to bestyjki! Ha! ha! To też pani wie co zamierzam. Oczywiście za-ręczyć się i ożenić.

— Oh...

— A wie pani z kim?

— Nie wiem.

On uśmiechnął się zwycięsko i, gładząc pięknie przyczesane, upomadowane włosy, wygłosił po namyśle:

— Z prawdziwym djamencikiem otoczonym fałszywemi brylantami!

Dumny i zadowolony ze swego *bon-mot* znów roześmiał się w głos i znów sięgnął po jej rączką. Lecz Miss Fanny skryła ramiona i ręce po za plecy i nie wzruszona jego duserami rzekła chłodno:

— Do zaręczyn potrzeba dwojga osób...

Nareszcie zimną wodą obłany wielbiciel zastanowił się; zmarszczył czoło, nasrożył się, odsapnął. Po długiej chwili milczenia począł z innej beczki, spokojnie, udając dystyngowanego salonowca:

— Wybierzemy się dzisiaj do teatru. Do Drury Lane. Dają tam podobno śliczną sztuczkę. Prawdziwe konie wyścigowe występują na scenie. Bajeczne widowisko. Dawno już nie byłem w porządnym teatrze. Zabawimy się — mówił z ocukrzoną miną i pełen podziwu dla jej stroju dodał: Będą ludzie myśleli, że wykradłem lalkę z okna wystawowego, ha! ha! Śliczną ma pani bluzkę, daję słowo. Kosztuje jakie trzy funty. No, będzie pani miała więcej takich i lepszych jeszcze bluzek w przyszłości, ha! ha!... Przyjdę tedy

po panią z wieczora. Pójdziemy zaraz kupić jaką strojną bluzkę a potem do teatru. Dobrze?

— Nie mogę pójść z panem do teatru.

— Czemu?

— Bo nie mogę.

— Hm... Może pani umówiła się z tym bladym clerk'iem, który podobno odprowadza panią często do domu?

— Kto to opowiadał? Pan Cohen?

— Tak, pan Cohen. Niech pani puści tego blondyna w trąbę i nie robi głupstwa.

— Nie umówiłam się z tym panem, ale muszę pójść do siostry, która sprawiła sobie niemowlę.

— Sprawiała sobie... co? Niemowlę?

— Tak —, tak się złożyło, że zachorowała. Ma silną migrenę i musi leżeć w łóżku.

P. Hollys słuchał z rozwartemi jak wrota ustami i strzygł powiekami długo, aż raptem ryknął humorycznych świsem.

— Któż to pani powiedział takie głupstwo?!

— Jakie głupstwo?! — podjęła urażona Fanny, godząc weń piorunującym spojrzeniem.

— Ah to panią siostra okłamała! — śmiał się coraz serdeczniej afrykańczyk. A ona, teraz głęboko obrażona, ozwała się:

— Cóż pan sobie myśli? Czy pan sądzi, że siostra mnie okłamuje?

— Może nie rozumiem. Jak to było wczoraj u siostry?

— Gdy przyszedłam do niej z wieczora, zastałam małe dzieciątko w łóżeczku a siostrę złożoną niemocą. Zapytałam się jej, skąd wzięło się to niemowlę a ona odparła, że przyniosła je akuszerka od lekarza, u którego je mąż jej zamówił.

Tu p. Hollys, zgoła nie posiadając się z wesołości, klapnął na krzesło i wybuchł zgoła humorystycznym, niepohamowanym śmiechem. Przytem, splecione rękę przyciskając do brzucha, kiwał się jakby mandaryn chiński. I śmiał się, śmiał bez końca, do łez, wyrzucając urywane zdania:

— Jak żyję... Słowo daję... Jak babcię kocham... To dopiero żart...

Fanny zaś zmieniła się w słup zdumienia. Poczynała poczytywać go za warjata i wzmagał się w niej ów fizyczny, lęk, jaki p. Hollys budził w niej od pierwszej chwili. Miała wrażenie, iż mógłby ją złamać jak zapałkę.

— A to się uśmiełem — wysapnął afrykańczyk uspakajając się.

Powstał, ogarnął ją słodkim spojrzeniem i rzekł:

— Niech pani nie troska się o siostrę. Migrena jej wprawdzie potrwa jeszcze dni kilkanaście ale obejdzie się ona bez pani. Pójdziemy dzisiaj do teatru, za dwa tygodnie weźmiemy ślub i... jeśli pani

zechce, to zamówię zaraz u lekarza dla pani niemowlę. Ha! ha!

Znów poczynał śmiać się, jakby obłędem dotknięty a Fanny patrzyła nań jak na potwora.

— Ani mi się nie śni wychodzić za pana za mąż! — odparła stanowczo.

— Czyż to pani nie wie, że mógłbym kupić pani tysiąc takich bluzek? Parę tysięcy?

— Wiem, ale potrzebuję tylko jedną i tą mam.

— To... pani zakochana chyba w tym głupim kupczyku. Ale ze mną żartów niema, Miss Fanny. Powiedziałem sobie, że panią poślubię, więc tak się stanie i kwita. Niema gadania.

— Oh... — szepnęła nasrożona panienska.

Nagle, na poparcie konkurów p. Hollys wy dobył z kieszeni mały rewolwer, położył go na szybę gablotki i oświadczył:

— Daję pani dziesięć minut czasu do namysłu!

— Zawołam w tej chwili policeman'a, stojącego przed sklepem, jeszcze większego i silniejszego od pana! Czy to pan sądzi, że tu Afryka? Zaraz się pan przekona, że to nie Afryka, lecz Londyn.

Odsunęła się z szacunkiem od rewolweru i ciągnęła wzburzona:

— Jeżeli pan natychmiast nie schowa tej broni i nie przeprosi mnie, to pocznę krzyczeć gwałtu.

— Dobrze, Miss Fanny, Schowam broń, ale teraz dość tego.

— Tak, dość tego!

— Dość. Teraz bez fanaberji...

— Niech pan mnie w tym momencie przeprosi i to na klęczkach za tę napaść — mówiła Fanny, zyskując jeszcze na odwadze, od chwili gdy rewolwer znikł z przed jej oczu. — W tym momencie! Na klęczkach!

Osowiały p. Hollys patrzył w nią wielkimi, wylupiającymi oczyma.

— A to ładna historia! Cóż pan sobie myślał? Za takiego bandytę miałabym wychodzić? Dziękuję. Jeśli pan chce, abym wogóle z nim gadała, musi mnie pan przeprosić na klęczkach. Natychmiast! — zakomenderowała z gestem długiego paluszka.

Rad nierad albo raczej wielce nierad p. Hollys leniwym, ciężkim ruchem niedźwiedzia osunął się na podłogę z arcyniemądrą miną.

— Niech pan nie waży się ruszać z miejsca! krzyknęła Fanny, bo nagle strzeliło jej do głowy że trzeba go odrysować w tej pozycji.

Niezwłocznie jęła kreślić gwałtownie na wielkim arkuszu papieru coś co przypominać mogło nie pana Hollysa lecz hipopotama.

On próbował dźwignąć się z podłogi, lecz Fanny przygwaździła go znów gromkiem słowem i rysowała bez przerwy z wielkim rozmachem, grożąc mu policemanem, pogardą i wieczystą hańbą.

Wtem ozwał się wykrzyknik:

— Hollys! Tyś chyba ogłupiał!

Łysy p. Cohen stanął we drzwiach i zelektryzował przyjaciela, który zerwał się na nogi elastycznie i przysiadł na krześle strapiony, zawstydzony i niemy niby schwytyany łobuz-wyrostek.

— Co tu zaszło? Co się stało? — pytał Cohen z uśmiechem, szukając wyjaśnienia w twarzy małej Fanny, która skończywszy szkic wielkim gestem, podała go przybyszowi bez słowa.

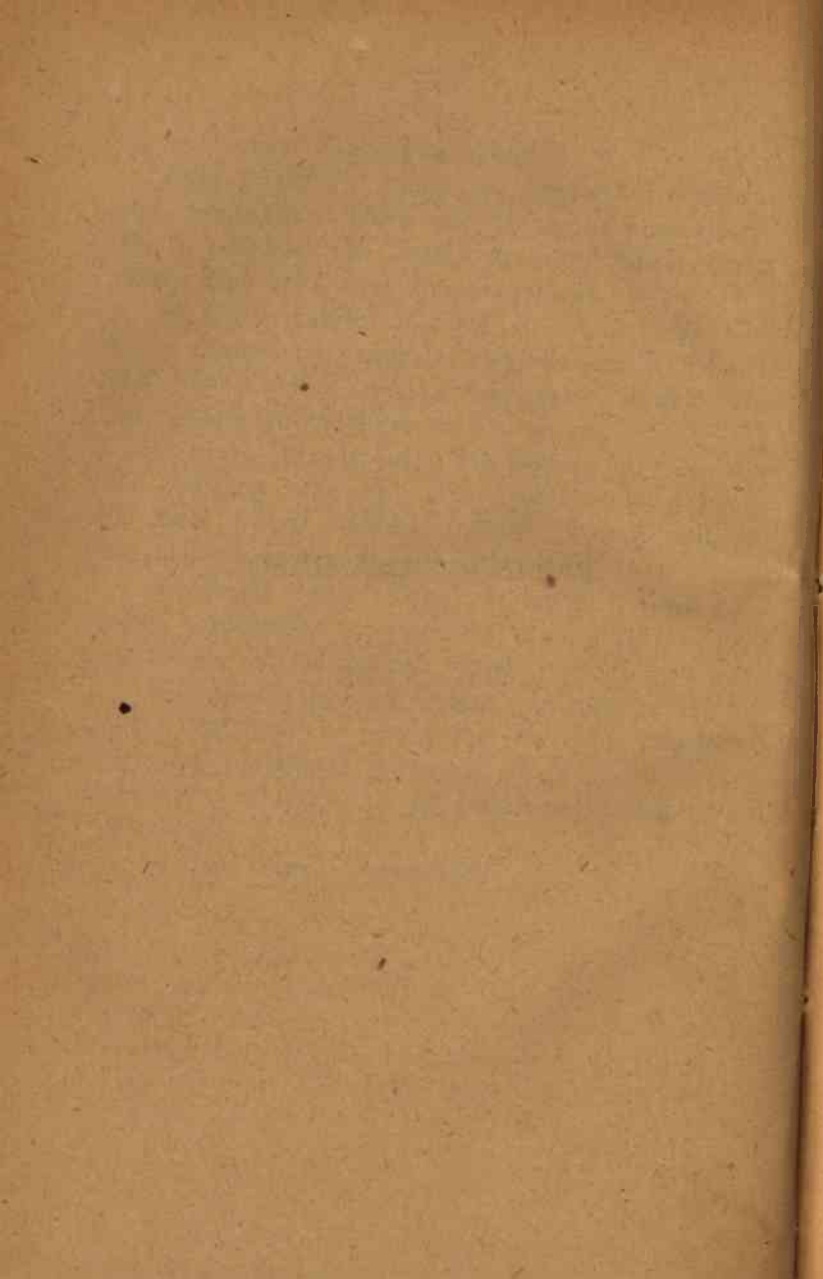
Rysunek przedstawiał hipopotama czy krokodyla roniącego olbrzymie łzy, nad którego potwornym łbem fruwał figlarny ptaszek. Podpis brzmiał: Poskromienie afrykańskiego potwora.

— Chodź Cohen! Chodź na lunch! — wołał pan Hollys, wydierając przyjacielowi szkic z ręki — Zostaw to! To nic nie znaczy. Figiel.

Nie spozierając na strojną panienkę, p. Hollys chwycił kapelusz i, pociągając za sobą handlarza fałszywymi brylantami, wytoczył się ze sklepu pośpiesznie. Mruczał przy tem do siebie, żuł przekleństwa i powtarzał:

— Psia krew... Djamencik!

PARASOL PANA ZDURY



Są ludzie, którzy twierdzą, że parasol pana Hilarego Zdury, agenta, znanego powszechnie na Poznańskim bruku, sprzedającego po domach margarynę, papierosy, kalendarze, kalosze, nie istniał nigdy w rzeczywistości, że jest to jedynie wykwit jego przyziemnej wyobraźni — fikcja, wyrosła do znaczenia legendarnego i nieodłączna od osoby pana Zdury.

Natomiast inni z równą stanowczością zapewniają, że parasol ten widywali na własne oczy. Opisują go jako gipką laseczkę brudnej barwy, jakby poogryzaną, z półkolistą rękojeścią i ze zużytą skówką u dołu. Gnie się ona pod najlżejszym naciskiem dłoni tak, że grozi złamaniem. Oplata ją tani materiał bawełniany, omszały od starości, nieco zielonkawy, i rozpięty na promieniach pokrzywionych fiżbinów, które ściągnięte taśmą gumową, wydymają się dołem balonowo, a górą rozczapierzają w kielich.

Czy parasol ten istnieje, jest kwestją sporną, którą ostatecznie trzeba rozstrzygnąć potwierdzająco, gdyż bez niego nie podobna pomyśleć sobie pana Hilarego; bez niego przestałby on bytować w umyśle

ludzkim, rozwiałyby się w nicość. Parasol i jego właściciel zrosli się w nieodłączną jedność i to tak, że pan Hilary zeszedł na drugi plan, skrył się pod baldachim kwestjonowanego przedmiotu, który nie służy mu, jakby można przypuszczać do ochrony przed deszczami, lecz do celów szlachetniejszych, zgoła przez fabrykanta nie przewidzianych a arcydyplomatycznych.

Parasol jest do zapominania — mógłby orzec pan Hilary. Zapomina on go tak często, że ile razy znajomi pragną go rozgniewać w knajpie, w której bywa wieczorami na flakach, na tak po polsku zwanych ajzbajnach i innych frykasach, odzywają się za odchodzącym:

— A nie zapomnij swego parasola!

Na to smagle, siwiejącą szczecinią zarosłe i mroczne jak puszcza leśna oblicze pana Zdury przemienia się w maskę, grozą równającą się głowie Meduzy. Tylko wzmożoną odpornością dzisiejszych czasów, wytłumaczyć można, że na widok tej larwy nie obracają się oni w kamień lub nie lodowacieją pod wściekłem, jak piekło czarnem spojrzeniem, strzelającym z oczodołów, ocienionych krzaczastymi rozsochotami chróstami brwi.

W momentach takiego jowiszowego gniewu, pan Hilary tworzy typ czarnego charakteru, jakby żywcem wyjęty z najeżonego okropnościami melodramatu kinematograficznego, przypomina dziką bestję, gotującą się w krwiożerczym napadzie do skoku. I zda się, że

włosy bujnego zarostu, niby grzbiet rozsrożonego kota lub kula jeża, podnoszą się i godzą w śmiałka ostrzami szpilek.

Z pomrukiem jaskiniowca wyrzuca dotknięty smok:
— Psia krew!.. Świnie!

Niczem nieuzasadniony ten wykrzyknik, jakim Zdura lubił się posługiwać na chybił — trafił, nie wywoływał nigdy burzy, nie doprowadzał do rozprawy honorowej na pięści. Wybuchy gniewu z jego strony były zbyt częste, aby miała wywierać wrażenie odpowiednie; zdobył on dla swej furji prawa obywatelskie i w odpowiedzi na „świnie“ parskano śmiechem, uważając, że ciska on takie epitety „dla śmiechu“, jako koncept „sui generis“.

Kiepskie jego papierosy miały powolnego odbiorcę w pewnym złotym młodzieńcu, którego Zdura uszczęśliwiał swemi wizytami raz po po raz, powołując się na to, że ojciec jego był ekonomem u ojca wesołego kawalera. Skutkiem tej okoliczności, Zdura uważał pana Adama za swego krewnego i nakładał nań obowiązek kupowania od niego papierosów.

Ostatecznie przebrała się miarka. Papierosy były coraz gorsze i coraz droższe, wizyty Zdury coraz częstsze i dłuższe, więc drzwi pana Adama zamknęły się przed śpiczastym nosem ajenta.

Srodze oburzony pan Hilary mruczał:

— Hm, papierosy złe, powiada... A kto mu znosi plotki, kto go informuje o wszystkim? Kto mu

doniósł o tej czarnej Elizie? Niewdzieczna bestja!
Czekaj, bratku!...

.Snując słodkie sny zemsty, Zdura błąkał się często w pobliżu mieszkania „kuzyna“. — Dowiedział się, że w pewne dni zatrzymywała się tam doróżka i wysiadała z niej szykowna białogłowa, niepodpada-co ubrana, z wualką gęsto muszkami upstrzoną.

Zdarzyło się pewnego razu, że o tej stosownej czy niestosownej godzinie rozległ się w garsonierze pana Adama dzwonek w sposób alarmujący. Dzwonił bezskutecznie. Niezrażony tem pan Hilary, przeczekał dziesięć minut i raz jeszcze przypuścił szturm dzwonekowy do siedziby młodzieńca, tak natarczywie, jakby się paliło.

Wreszcie przybył do drzwi pan Adam w błękitnem ubraniu szlafrokowem i czerwonych pantoflach safianowych. Na widok Zdury porwała go wściekłość.

— Pan?! Do stu katów!...

— Zapomniałem tu swego parasola — wyrzekł z godnością ajent.

— Parasola?! A niechże cię... Nie było, niema żadnego parasola!

Klnąc na czem świat stoi, pan Adam byłby zatrzasnął drzwi przed ajentem, który wszakże, wyzyskując genialnie moment psychologiczny, ozwał się:

— Niema? To snadź gdzieindziej... Ale przy tej sposobności weźmie pan z pewnością setkę... „Dyskretnych”.

Pan Adam zachnął się, jak człowiek śpiący, któremu wodą w twarz bryzgnięto. Zmąciła się burza jego uczuć, po chwili przesilenia uspokoił się pozornie i bez słowa odebrał papierosy.

Odtąd stał się znów wiernym odbiorcą wyrobów pana Hilarego, lecz trudno go było zastać w domu.

Niekiedy bywa Zdura u znajomego bankowca, tem chętniej, że z toku gawędy wyłania się czasem dlań jaki interesik. Gdy pewnego razu nie dało się wyłuskać z rozmowy nic „pozytywnego”, ajent, chcąc nagrodzić sobie ujmę, przypomniał przyjacielowi o istnieniu „wybornej” nalewki w kredensie, którego zawartość znał dobrze. A po kilku kieliszkach barwnego płynu, zauważył strofująco, niby metr savoir-vivre’u:

— Wypadałoby przecież stawić przekąskę!

— Moja żona niezdrowa — usprawiedliwił się zawstydzony pan Franciszek i dorzucił zrywając się z miejsca:

— Sam zaraz poszukam.

Wnet znalazły się przygotowane na wieczerzę wędliny i sery. Pan Hilary zasiadł do stołu na dobre. Niestety p. Franciszkowi było, spieszo na pilznera, którego pijał o tej godzinie w piwiarni, więc nie dał dopełnić przyjacielowi aktu zakąszenia wódki z całą sumiennością.

Wyszli na ulicę, lecz rozstali się na narożniku. Pan Franciszek nie zauważył, że przyjaciel podążył

w te pędy z powrotem do jego mieszkania. Zapomniał parasola!

Wpuszczony do przedsionka, pan Hilary począł szukać zapomnianego chronicznie towarzysza, przy czem mruzczał na służącą:

— Ruszaj do kuchni! Marsz do roboty. Sam poszukam.

Pokojówka znikła, on szukał — nie długo.

Nie popasając w przedsionku, zajął swe opóźnione miejsce przy stole i powetował sobie wyrządzoną „ujmę” sownicę, Zmiałał plastry szynki, pałaszował sery z rozmachem i zaciętością żołnierską, obficie przekrapiając nalewką. I sapał potwornie.

Mroki wieczorne tułały się po jadalni, oplatały sprzęty i omotały głowę p. Hilarego szarą mgławicą.

Snadź sapanie i kłaskanie żarłocznego stworzenia przedzierało się przez ściany, trwożyło penaty. Któż mógł wydawać z siebie takie tony, obce panu Franciszkowi, takie dzikie pomruki niedźwiedzie?

Nagle uchyliły się drzwi i zabieliła się w nich długa koszula niewieścia, z której wynurzyło się dwoje tłustych. obnażonych ramion i wyrastała głowa pucułowatej pani Franciszkowej.

Obraz włochatej maski Zdury, mającej jakby widmowo w gęstych cieniach gasnącego dnia, przeszył strachem niewiastę, zachwiał filarowemi jej podstawami. Bo cóż to za potwór pożerał wilczo zapasy wędliny?

— Ach!...

Zdura zerwał się na nogi, galanterją porwany, i rzucił ku słaniającej się, kompromitująco wyneglizowanej pani Walerji, która tem więcej przerażona, okropnym piskiem zaalarmowała pokojówkę i ukryła swą nagość pod kołdrą.

Z delikatnej sytuacji Zdura wywikłał się wściekłością:

Gdzie u diabła mój parasol?! — huknął na służącą, zaklął siarczyście, i wyniósł się pośpiesznie — zły, a w gruncie rzeczy zacie odkarmiony. Wizyta u pana Franciszka opłaciła mu się przyzwoicie.

W ten sposób z pomocą problematycznego parasola, osiągał Zdura rozliczne korzyści. Jakoż wtajemniczeni w jego sprawy znajomi radzili mu, aby zapominanie parasola zarezerwował wyłącznie dla siebie, aby zastrzegł się przed naśladownictwem swego wynalazku i kazał go opatentować.

Największą w skutkach rolę odegrał ów parasol w domu pp. Sikorów, pobłogosławionych pięcioma dorosłemi córkami. Zdura był tam bardzo dobrze widzianym, czyli poprostu mówiąc, karmionym, dzięki bowiem rozgałęzionym jego stosunkom i owocnym zabiegom znalazł się konkurent i aspirant do posagu, imieniem Czesław, niesłusznie zwany Ziółko.

Flegmatyczny ten młodzieniec, ożywiony chęcią popełnienia małżeństwa a mianowicie „wznienia się w żelazny interes”, stawił się do dyspozycji rodziny

Sikorów, złożył swe serce i życie u nóg pięciu pannien Sikorówien, gdyż za pośrednictwem ogłoszeń nie udało mu się znaleźć „towarzyszki życia”. Nie zapłonął on specjalnym afektem do żadnej z córek zamożnego kupca; kochał wszystkie. Uczucia jego oscylowały, kołatały się błędnie między pięcioma pannami tak, iż stary Sikora, który nie lubił „zawracania głowy”, postanowił położyć kres katuszom sercowym pana Czesława i rozciąć gordyjski węzeł, największy problemat familijny.

Do kategorycznej akcji ojcowskiej nakłoniły go swary i kwasy, jakie wkradły się do jego domu z powodu osoby pana Czesława, tudzież przestroga ze strony Zdury.

Opowiadał on Sikorze smutną historję o młodzieńcu, który darzony płomienną miłością przez dwie siostry, pokochał obie i zgoła nie wiedział, którą z nich pojąć za żonę. Gdy miał przed sobą pulchną Kasię, czuł że ją jedną kocha, lecz gdy był sam na sam ze Stasią, zapomniał o siostrze jej całkowicie i padał do nóg wiotkiej blondynie. A obie siostry ciągnęły go do ołtarza. Pod naporem ich afektu wił się w kontorsjach niezdecydowania. Najchętniej byłby poślubił obie, by ani jednej ani drugiej nie zrobić przykrości a sobie podwójną sprawić przyjemność. Ostatecznie chciał z niemi wyjechać do Ameryki i przystąpić do sekty Mormonów, wszelako myśl tę przyjęto z oburzeniem. Tymczasem zakochane panny

nie przestały nalegać, domagać się ostatniego, sta nowczego słowa, poczynaly płakać i rozpaczą zatr uwać mu dni tak, iż nieszczęśliwy młodzian rzucił się do sadzawki i utonął.

Opowieść ta zatrwożyła Sikorę, a przeczuwał, że gdyby zapytał swe dziewczęta, która z nich chce wyjść za pana Czesława, to wszystkie podniosłyby pal ce w górę. Na to, aby nieopatrzenie wypuścić z rąk konkurenta, był za dobrym kupcem i ojcem, na to zaś, by patrzeć obojętnie na podjazdowe walki mię dzy córkami, na potyczki szpilkowe, był zanadto po kój miłującym człowiekiem. Przywoławszy przeto żonę rzekł:

— Dosyć tego! Te dziewczuchy żrą się po kątach jak psy o gnat. Skończy się na tem, że jedna drugie w drogę wchodząc, wszystkie razem zwierzynę z na szych opłotków wypędzą. A w tych czasach wojennych męczyzna staje się coraz większym delikatesem. Otóż, Hilary radzi, aby urządzić loterję.

— Jaką loterję? — spytała zdumiona Sikorzyna.

— O Ziółkę. Pociągną losy. Która Czesława wyciągnie, będzie miała doń wyłącznie prawo i we źmie go sobie na własność. A inne zasiel! W ką, nie bruździć! Może Zdura wynajdzie i dla nich konkurentów.

Po długich korowodach puszczenie na losy ka walera odbyło się w zaciszu rodzinnem bez jego

wiadomości. W rezultacie wygrała go trzecia z rzędu, rezolutna Wańdzia.

Dziwna ironia losu! Szczęście posłużyło tej, która najmniej dobijała się o pana Czesława. Ubiegała się o jego względy tylko dlatego, by zaćmić siostry, uprzędzić je, prześcignąć i najpierw przybiedz do mety wyścigowej, noszącej nazwę: małżeństwo. Chciała wyjść za Ziółkę, by żadna z jej sióstr nie mogła wyjść za niego.

Zupełnie programowo i „bez zawracania głowy” odbyły się zaręczyny. Przy tej okazji Zdura jadł i pił zawzięcie i zacierał ręce na myśl, że za fatygę i za czas tej sprawie poświęcony, otrzyma od Sikory 200 milionów. I w karty poszczęściło mu słę niezłe; wygrał w durnia 60 milionów zaczem niezwłocznie, usnął tak twardo, że partner, pragnący się odegrać, nie mógł go się dobudzić żadną miarą. Jednakże zarobić 200 milionów, nie jest rzeczą wcale tak łatwą, jak wyobraża to sobie montekarlista, posiadający system nieomylny.

Odkąd usunięto konkurencję w ką i panna Wańdzia stała się jedyną właścicielką pana Czesława, młodzieniec ten, który dotąd przedstawiał w jej oczach pewną cyfrę, postradał wszelką wartość, zmalął, zlilupuciał. Wzdychając do pewnego donżuana. Wandzia traktowała narzeczonego pod psem, pomiałałz nim jak zapłaconym wekslem, zwłaszcza, że poskromione siostry, wyszukując teraz z miskroskopijną

ściłością wady, błędy i braki osoby pana Ziółki, częstowały ją nieustannie kwaśnymi owocami swych spostrzeżeń i obniżały wartość jego do zera. Popadały nawet wdziwienie, że posażna panna mogła poniżyć się do zaręczyn z takim stworzeniem, płótno mającym w kieszeni. chociaż nie był on wcale brzydszym od diabła, na bezrybiu uchodzić mógł za rybę i bądź jak bądź, był zgoła niezbędnym do przyjęcia sakramentu małżeństwa.

Widząc, co się święci, mądry Zdura począł się lękać o swoją prowizję, której Sikora, kupiec dobry, nie chciał mu wypłacić przed ślubem córki. Czyż bowiem Ziółko nie zrazi się, nie wycofa z tego żelaznego interesu? Czyż nie uprzytomni sobie, że nie „wżenia się” tutaj w żaden interes?

Obawy Zdury były płonne. Nie przeczuwał on bynajmniej, że wbrew jego mniemaniu Ziółko, właśnie od chwili, gdy panna Wanda poczęła ujawniać wobec niego swą wyższość, bagatelizować go i darzyć szcudkami w nos nabierał dla niej poważania, że w miarę jak go deptano, rozmiłowywał się w tyranie. Patrzył na nią jak w tęczę, zebrał o całusa jak piesek o cukier, nie wiedząc, że o całusa należy wprawdzie prosić grzecznie, ale jednocześnie trzeba go brać zuchwale. Jednym słowem, Ziółko dojrzywał do stanu małżeńskiego, oswajał się zawczasu z pantoflem.

Znajomi jego zauważyli, że w „training’u” panny Wańdzi, Czesław „zdurniał do reszty”. Tego samego

zdania była narzeczona, nie ceniąca sobie wygranej, i coraz częściej nawiedzała ją myśl o puszczeniu go w trąbę.

I w istocie byłoby przeszło do tego, gdyby nie czarodziejski parasol pana Zdury.

W pewien wieczór marcowy cała rodzina Sikorów wybrała się do kinematografu, oprócz Wandzi, która została w domu pod pozorem bólu głowy, chcąc przez ten czas pastwić się nad swoją ofiarą. Młodej parze miał ojcować Zdura.

Zajął się on wszakże piwem. Odnalazłszy dwie butelki, wypił je, zaczem zabrał kilka cygar i nagle zrobił następujące odkrycie:

— Tam do diaska. zapomniałem parasol. Zosta-
wiłem go w knajpie. Jeszcze gotowi mi go zabrać!
Nowiuteńki!

To rzekłszy, mrugnął okiem panu Czesławowi, szepnął coś Wańdzi o urodziwym, fenomenalnie przez kobiety ulubionym jej narzeczonym i wyszedł pośpiesznie. Nie ukazał się więcej.

Co zaszło w saloniku Sikorów, pozostało tajemnicą murów. Dość, że w kilka tygodni potem odbył się „bez zawracania głowy” ślub młodej pary i Zdura pijany, jak mu to wypadało przy takiej uroczystości, otrzymał sumienne zarobioną prowizję.

Nie koniec na tem. Wdzięczny ojciec wyforytował Zdurę na kasjera pewnego towarzystwa akcyjnego, w uznaniu jego zasług dla rodziny Sikorów. Dzięki

temu, akcje pana Hilarego podskoczyły znacznie w górę, tak, iż wsiadł na wielkiego konia.

Kto wierzy, że prawdziwa zasługa prędkiej czy później dobija się nagrody, mógł być z góry przewidzieć, iż Zdura zrobi karierę. Zalety jego bowiem olśniewają każdego, zwłaszcza jego wysokie groszobóbskie ambicje. A nie pogardza on żadnym zarobkiem, nadto nigdy nie odgrywa się w karty i nigdy nie upija się za swoje pieniądze. Wreszcie posiada talizman czy amulet — posiada parasol.

Z tym perasolem zajdzie on jeszcze dalej.

Społeczeństwo nasze wyróżnia się od innych tem, że mało w niem spotykamy ludzi, ale za to bardzo wielu mamy wielkich ludzi.

Jest wszelka nadzieja, że z biegiem czasu wśród legjonu naszych wielkości może nawet posłów do Sejmu zajaśnieje wspaniałym blaskiem postać pana Zdury — z parasolem.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

R 19219

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000182585